



Raz na 500 spotkań



str. 3

Genius Loci



str. 4

Moda na Zofię Kossak



str. 8

Iglica nasza



str. 12

Nasza mała partyzantka



str. 14

Czy Polacy mają co świętować 4 czerwca?



ARTUR ADAMSKI

■ Na jaką ocenę zasługują cieszący się z dostąpienia prawa udziału w wyborczej farsie, w której zwycięstwo z góry zagwarantowano reżimowi zainstalowanemu przez obce mocarstwo? I co sądzić o „przedstawicielach narodu” rzucających się do ratowania chwiejącej się przewagi rzeczników obcego Polsce interesu metodami na rympał, rodem z bolszewickiego arsenału pogardy dla wszelkich standardów prawa, o jakimkolwiek szacunku dla woli wyborców nawet nie wspominając?

Ledwie dzień po „historycznych” wyborach 4 czerwca 1989 miliony Polaków przekonały się, że ich wybór jest bez znaczenia a liczy się jedynie to, by PZPR miał w żaden sposób niezagrożoną większość poselskich mandatów. Celem zagwarantowania takiej i żadnej innej większości zdecydowano się na kolejną hucpę. Natychmiast, w trakcie trwania tychże wyborów, dokonano zmiany ordynacji wyborczej. A zaraz potem parlament szczycący się udziałem „strony solidarnościowej” na prezydenta Polski wybrał sowiecką marionetkę. Generała, który osiem lat wcześniej wypowiedział narodowi wojnę. Tego, który dowodząc armią z polskimi orłami na sztandarach na rozkaz Moskwy rozjeżdżał czołgami wyrwającą się ku wolności w 1968 Czechosłowację czy dwa lata później wołających o chleb robotników Wybrzeża.

Jeśli ktoś już musi świętować rocznice upadania i moralnego wykoślenia polskiej zbiorowości to bliższy prawdy byłby wybierając daty nieco inne. Prawdziwe wybory odbyły się bowiem wcześniej. Dokonali ich komuniści prerażeni wizją swego nieuchronnego końca – wyłaniając usługujących partnerów do zbudowania niezbędnej im tratwy ratunkowej. Okazało się, że wybrańcy ci zbudowali im nie tylko tratwę, ale też podstawę pod trony, na których parę lat później ciż sami komuniści zasiadając mogli jako wyniesieni do władzy drogą wyborów już prawdziwie demokratycznych. Przekonać się nam też przyszło, że konstruktorzy tratwy dla „właścicieli Polski Ludowej”, wyposażyli ją także w nadzwyczaj komfortową katapultę, wynoszącą do niedostępnej wszystkim innym sfery całkowitej bezkarności i bogactwa. Ryszard Bugaj ten manewr reżimu i kręgów z nim zbratanych zilustrował metaforą: „wdrapali się do raju i wciągnęli za sobą drabinę”. Odpowiedzią na powody takich czy innych przywilejów bowiem bywało: „Ten pan nie jest zwykłym Jasiem Kowalskim” a dowodem rzekomych menedżerskich talentów partyjnych towarzyszy miały być rankingi milionerów, na których ci bez rodowodu nomenklaturowego stanowili epizodyczne wyjątki potwierdzające ogólną



regułę. Równocześnie miliony zrozpaczonych, wypędzanych z opylanych za bezcen fabryk, stanowiących źródło utrzymania milionów rodzin, smagano szyderstwami o „nieprzystosowalności do transformacji, zsołnionych sierotach po komunizmie”. Po tym samym komunizmie, w zmaganiach z którym rzesze wyrzucanych na bruk narażały się walcząc o wspólną wolność i na własnych plecach wynosząc tych, którzy wraz z komunistami dobili potem własnych interesów.

Pomimo oczywistej nikczemności formuły „wyborów częściowo wolnych” wielu szlachetnych ludzi dostrzegło w nich szansę wykonania kroku przybliżającego ojczyznę do odzyskania wolności. Wydarzenia toczyły się jednak torami spychającymi prędzej czy później większość prawych na margines. Beneficjenci przemian bez reszty wyzyskali też bezprzykładną ufność, cierpliwość i wprost nieopisaną zdolność Polaków do ponoszenia ogromnych ofiar. Całe pokolenie deklarowało przecież gotowość zniesienia każdej nędzy, byle tylko ojczyznę uwolnić od tyranii. Była więc ówczesna Polska światowym rekordzistą kapitału społecznego – bezbrzeżnej i niezachwianej wiary mas w intencje tych, w ręce

których przekazały władzę. Widząc dziś ulice Paryża można mieć pewność, że gdyby społeczeństwu Francji zaaplikować choć promil tego szoku, jakiemu po wyborach z 1989 roku poddano Polaków, pierwszego dnia nad Sekwaną splonęłyby wszystkie rządowe gmachy i na żadne zmiłowanie nie mogliby też liczyć ich dysponenci. W Polsce upokarzająca gorycz zawodu doprowadziła jedynie do tego, że dla większości obojętnym się stało, czy prezydentem będzie TW Bolek czy TW Olek a rząd sformuje ta czy inna strona tego samego Okrągłego Stołu.

Cóż więc znaczący owe czerwcowe wybory? Całkowita wolność gospodarcza przywrócona została przecież już w roku poprzednim, kiedy to skala uwłaszczenia nomenklatury nagrabionej na narodowym majątku miała już rozmiar niemożliwy do pomieszczenia w żadnej PRL formule. Z wdrożonego w 1988 roku

systemu wolnorynkowego skorzystali też jednak zwykli Polacy, błyskawicznie uruchamiający miliony mikroprzedsiębiorstw (aktywność tę zdławiono natychmiast, gdy tylko zaczęła być konkurencją dla nakradzionej postkomuny). Wydarzenia roku 1989 w dużej mierze były też odwrotnością roku 1980, w którym to nasz kraj był koryfeuszem wolności całego moskiewskiego obozu. W 1990 roku Polska należała do ostatnich, w których nie odbyły się jeszcze prawdziwie wolne wybory. Z lidera pochodu wolności wyniesieni do władzy stoczyli ją do poziomu niemal nieznanego już skansenów, w których na pełnych obrotach nadal działała cenzura a sądownictwo pozostawało skamieliną nie muszną choćby jedną personalną zmianą. Kiedy głową państwa czechosłowackiego od roku był już Vaclav Havel u nas postkolonialne standardy ugruntowywał Jaruzelski. Jako jedni z ostatnich

zegnaliśmy się też z totalitarnymi służbami specjalnymi a długo oczekiwana zmiana w tym zakresie polegała na przyznaniu siepaczom reżimu nie tylko przywileju nietykalności, ale i uposażeń stanowiących wielokrotność dochodów przeciętnego Polaka. Cóż bardziej zabójczego dla ładu moralnego państwa i formowania młodych pokoleń od bizantyjskiego nagradzania siepaczy reżimu pilnującego obcych interesów przy równoczesnym strącaniu w nędzę ludzi dla ojczyzny zasłużonych, spracowanych, zawsze dobru wspólnemu oddanych?

Nie brak oczywiście podsuwanych nam przed oczy statystyk mających dowodzić, jaki to wielki sukces osiągnięty został po rzekomym przełomie, symbolizowanym wyborami z czerwca 1989. Uczciwiej byłoby pamiętać i o skali wyrządzonych krzywd i o tym, że w całej polskiej historii, wyjąwszy lata wojen, nigdy tak wielu Polaków jedyną dla siebie przyszłość nie dostrzegło na obczyźnie i ziemię ojczystą zdecydowało się opuścić. Nie sposób też nie wspomnieć, że dokładnie trzy lata po wyborach z 4 czerwca 1989 wszystkim nieotumanionym przekazem ówczesnych mediów krew w żyłach zmroził widok sejmowej większości, głoszącej za obaleniem Jana Olszewskiego, pierwszego premiera rządu wyłonionego przez Sejm pochodzący z wolnych wyborów. Większości sejmowej nie zrażonej obecnością wśród kierujących państwem osób zidentyfikowanych jako narzędzia służb powołanych do stania na straży interesów wrogich Polsce i Polakom.

Taka okazała się być twarz „elit” bytu szumnie zwanego Trzecią Rzeczpospolitą, wypoczwarczonego ze zbratania się sowieckich namiestników z gotowymi iść z nimi na każdy kompromis.



Raz na 500 spotkań

■ Jesienią 1977 roku w sublokatorskim pokoju Lecha Stefana, w gronie najbliższych przyjaciół odbyło się pierwsze posiedzenie klubu Spotkanie i Dialog.

Podobne inicjatywy powstawały wówczas w wielu polskich miastach. Nie ma dzisiaj klubu Krzywego Koła, Towarzystwa Kursów Naukowych, salonu profesora Dudka, ruchu ROPCiO, KSS KOR – wszystkie także zaczynały w prywatnych mieszkaniach. Oprócz gospodarza klubu Spotkanie i Dialog wśród żywych nie ma już żadnego uczestnika pierwszych spotkań, które po latach z małego pokoju, poprzez kolejne mieszkania i wrocławskie parafie salezjańskie zawitają na chwilę na Akademię. A jest po temu powód nadzwyczajny – w pierwszą środę czerwca 2023 roku odbędzie się 500. posiedzenie tej zacnej i żywotnej inicjatywy. Dostojna sala Auditorium Marianum Uniwersytetu Wrocławskiego dzięki życzliwości rektora stanie się soczewką skupiającą 47 lat nieprzerwanej godnej podziwu tradycji.

Ta całkowicie niezależna, obywatelska inicjatywa przetrwała zmianę systemu politycznego w Polsce, kilku papieży, prezydentów, ministrów nauki... Jest owocem pozytywistycznej postawy Lechosława Stefana, absolwenta Uniwersytetu Wrocławskiego, który w czasach wszechobecnej cenzury wraz z gronem zaufanych przyjaciół prowadził nieformalny klub dyskusyjny. Szacowni goście i poruszane tematy wypełniały „białe plamy” czasów komu-



Lech Stefan, Kornel Morawiecki, Tadeusz Marczak.

nistycznego państwa. Systematyczne, comiesięczne spotkania odbywają się przez lata w niezmiennym terminie: pierwsza środa miesiąca. Z sierpniową przerwą wakacyjną jest to jedenaście posiedzeń w ciągu roku.

Po latach warto podkreślić, że do pogłębionej debaty społecznej, historycznej, samorządowej i politycznej udało się gospodarzowi zaprosić: Damę Orderu Orła Białego – Annę Walentynowicz, Kawalerów Orderu Orła Białego – Adama Macedońskiego, Kornela Morawieckiego, Antoniego Lenkiewicza, Stanisła-

wa Gebharda. Lech Stefan gościł na spotkaniach Klubu wybitnych przedstawicieli wrocławskiego środowiska naukowego, których pełna lista jest jeszcze odtwarzana. Za sprawą założyciela, inicjatywa ta potrafi do dzisiaj jednoczyć środowiska akademickie wyższych uczelni Wrocławia. Lech będąc absolwentem Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego Uniwersytetu Wrocławskiego, zainicjował utworzenie Podyplomowego Studium Dziennikarskiego na Papięskim Wydziale Teologicznym, a wcześniej był współinicjatorem

Centrum Badań Ekonomicznych Politechniki Wrocławskiej i Uniwersytetu w Connecticut w Stanach Zjednoczonych. Z tego macecznika wyodrębnił się projekt Katolickiego Radia Rodzina, powstała myśl o powołaniu kapituły odznaczenia Niezłomni i kilku ważnych stowarzyszeń obywatelskich.

Oby ta unikalna w skali kraju niemal półwieczna inicjatywa posłużyła młodym za wzór dzieł realizowanych dla dobra wspólnego z podobnym zapałem i wytrwałością.



TOMASZ BIAŁASZCZYK

Ryszard Czarnecki
RYSIE OKO



Rosja rozgrywa Kaukaz Południowy

W czwartek wieczorem 25 maja b.r. byłem na uroczystościach święta narodowego Azerbejdżanu, które w Brukseli zorganizował w ambasadzie tego kraju były wiceminister spraw zagranicznych owego najbogatszego państwa Kaukazu Południowego, a obecnie szef placówki przy Unii Europejskiej, Wakif Sadikow.

A tymczasem raptem po dziesięciu godzinach Azerbejdżan i Armenia porozumiały się w sprawie Nagorno-Karabachu czyli mówiąc po polsku Górskiego Karabachu – niestety w obecności Władimira Władimirowicza Putina. Znowu rosyjski niedźwiedź dzielił i rządził. Prawdę mówiąc, robi to w tym regionie już dobrze od ponad stu kilkudziesięciu lat, ale szczególnie intensywnie w ostatnich trzech dekadach po upadku Związku Sowieckiego. Wspierał Armenię, obsadził swoim wojskiem dwie z jej czterech granic, ale czasami taktycznie popierał Azerbejdżan. Dla każdego – coś miłego.

W ostatnich jednak latach, a zwłaszcza po agresji Rosji na Ukrainę, czyli po lutym 2022 nastąpiła wyraźna kontrofensywa Zachodu, a konkretnie Unii Europejskiej. UE trudno posądzić o szczególną aktywność – raczej o brak aktywności. Jednak akurat w tej kwestii bardzo mocno zaangażował się Charles Michel, szef Rady Europejskiej, były premier Belgii i syn wicepremiera, ministra spraw zagranicznych tego kraju i komisarza Louisa Michela. Jeździł tam, występował w roli negocjatora i spotkał się z autentycznym uznaniem, budząc szacunek choćby w Baku, które początkowo patrzyło na niego z dystansem, jako polityka bądź co bądź frankofońskiego. Tymczasem Francja z wpływową, dobrze zorganizowaną mniejszością ormiańską, (kto nie słuchał piosenek ormiańskiego Francuza Charlesa Aznavoura?) tradycyjnie popierała Erywań.

Jak widać proces pokojowy między chrześcijańską Armenią i islamskim Azerbejdżanem zakończył się jednak nie w Brukseli, nie w Paryżu, tylko w Moskwie. Czy podpisana tam, w obecności Putina azersko-ormiańska deklaracja polityczna kończy pełzającą wojnę na Południowym Kaukazie? Zobaczymy. Na razie wiadomo, że Rosja wzmocniła swoją pozycję rozgrywanego w tym regionie, dając niestety również jasny sygnał do całego obszaru postsowieckiego: „rozdajemy dalej karty – jak kiedyś...”. Złe się stało.



Lech Stefan, Stanisław Bogaczewicz.



Lech Stefan, Tadeusz Marczak.



Włodzimierz Suleja, Lech Stefan.



Lech Stefan, Jacek Świat, Piotr Gaglik.

Genius Loci

Salon Kultury Nauki i Biznesu



MARTA MORAWIECKA

- Po raz piąty piękne tereny południa Dolnego Śląska goszczą w tych dniach wybitnych prelegentów i uczestników Salonu Genius Loci.

Pierwsze takie spotkanie odbyło się w 2019 roku w Jeleniej Górze z inicjatywy wybitnego rzeźbiarza, grafika, jubilera i społecznika – Konrada Tomaszewskiego. Kolejne dwa kontynuowano w 2020 roku w Szklarskiej Porębie a następnie w 2021 roku w Karpaczu. Dopiero zesłoroczne oraz obecne spotkanie znalazło, zgodnie z łacińską nazwą, przestrzeń jedyną w swoim rodzaju – Zamek Na Skale w Trzebiezowicach koło Łącka Zdrój, położony na stromym brzegu rzeki Białej Łądeckiej. Przystójny podwójnym szklanym dachem dziedziniec lewego skrzydła zabytkowego zamku stanowi doskonale miejsce wykładów i dyskusji Salonu Kultury, Nauki i Biznesu. Atmosfera niemalże klubowa sprzyja kontaktom i zachęca do osobistego uczestnictwa.

Dobór gości odbywa się niezwykle starannie. Wydarzenie stanowi forum wymiany myśli, dorobku oraz twórczości reprezentantów różnorodnych środowisk. Ponieważ spotkania zaplanowane każdego dnia od godziny 9 rano do 19 wieczorem



rem mają niezwykle intensywny charakter – jest czas na bardzo różnorodne treści. Genius Loci promuje wybitnych artystów, kolekcjonerów, naukowców, strategów i ludzi biznesu. Patronem honorowym a zarazem patronem Salonu Nauki jest Wojciech Murdzek – wiceminister Edukacji i Nauki. Pieczę nad Salonem Dziedzictwa Kulturowego sprawuje dr Łukasz Ka-

miński, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Salon Biznesu koordynuje kanclerz Łoży Dolnośląskiej BCC Marek Woron, zaś zainaugurowany w tym roku Salon Strategiczny prowadzi prof. Piotr Wrzeczoniarz. Liczba uczestników spotkania co rok jest stała i oscyluje wokół 70-80 osób.

Nie sposób wymienić wszystkich prelegentów i panelistów te-

gorocznej edycji Genius Loci. Przywołam jedynie wybranych: Krzysztof Zanussi, Adam Zamoyński, prof. Tomasz Arciszewski, Maciej Radziwiłł, prof. Agnieszka Hałoń, Michał Kwilecki, prof. Leon Tarasewicz, Martyna Łukasiewicz, prof. Marcin Wodziński, Wojciech Myślecki, konsul honorowy Austrii Edward Wąsiewicz, Marek Roefler, prof. Andrzej Zybortowicz, Tomasz Żdziebkowski, Wojciech Niewiarowski, Grzegorz Zwoliński, prorektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Artur Błażejowski, Jacek Grzelak, prof. Eugeniusz Zych, Mariusz Dobrzeński, prof. Krzysztof Meissner, Konrad Tomaszewski.

Przy takim składzie zaproszonych wykładowców w żadnej mierze nie są przesadzone ambicje, aby Salon Genius Loci pełnił funkcję tygła intelektualnego. W atmosferze nacechowanej otwartością i wzajemnym szacunkiem łatwiej o nowe pomysły, idee i sposoby odpowiedzialnego uczestnictwa w pełnej wyzwań i szybko zmieniającej się rze-

czywistości współczesnej Polski. Uczcie intelektualnej towarzyszą prezentacje, koncerty i wystawy plastyczne stojące na najwyższym poziomie. Gratulujemy pomysłodawcom i organizatorom ambitnego i wysmakowanego przedsięwzięcia.





WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Przezwyciężenie kwadratury koła



MEC. PIOTR ŁUKASZ ANDRZEJEWSKI

Wiceprzewodniczący Trybunału Stanu

▪ Spodziewane orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego dotyczące zgodności z konstytucją kolejnej nowelizacji funkcjonowania Sądu Najwyższego i struktur wymiaru sprawiedliwości w Polsce rodzi pytanie o granice dyktatu Unii Europejskiej wobec kształtowania form ustrojowych naszego państwa.

Model integracji Europy zarysowany jako centralistyczny, pogłębiony proces federacyjny, reprezentowany aktualnie według modelu niemieckiego przez organa unijne, zderza się z alternatywnym modelem integracyjnym sygnalizowanym przez premiera Mateusza Morawieckiego na forum Parlamentu Europejskiego, w liście do przywódców państw członkowskich UE jak i wystąpieniu na Uniwersytecie w Heidelbergu 20 marca 2023 roku.

W ramach Zjednoczonej Prawicy nie należy akcentować różnicy w postrzeganiu i definiowaniu konfrontacji Polski z organami UE, ale rozważać charakter i zakres reagowania na ten stan rzeczy.

Sposób ukształtowania organów wymiaru sprawiedliwości sprawujących władzę sądowniczą w polskim obszarze prawnym nie został w trybie legalnym poddany zwierzchnictwu Unii Europejskiej. Orzeczenia polskiego Trybunału Konstytucyjnego wypełniają kompetencje ustrojowe państwa polskiego, co do przesądzenia ważności bądź nieważności innych źródeł prawa w polskim obszarze prawnym według zgodności z normami polskiej Konstytucji.

Skarga Komisji Europejskiej na ten stan rzeczy forsuje dodatkowe kompetencje orzecznicze TSUE w zakresie zastrzeżonym dla polskiego Trybunału Konstytucyjnego. Wpisuje się w rozszerzanie zakresu władztwa organizacji międzynarodowej, jaką jest Unia Europejska, nad państwami członkowskimi. Ten stan rzeczy był przedmiotem wątpliwości Senatu RP w 2009 roku co do tego, czy normy blankietowe (ogólnikowe wymagające skonkretyzowania) nieokreślające dokładnie materii merytorycznej, która ma być przedmiotem stanowiska organu Unii Europejskiej – TSUE, nie wymaga każdorazowego potwierdzenia przekazania szczegółowych kompetencji w tym zakresie. Każdorazowe wypełnianie uszczegółowionej treścią norm blankietowych rodzi kompetencje polskiego Trybu-

nału Konstytucyjnego do potwierdzenia ich mocy wiążącej jako zgodnej z polską Konstytucją i charakteru przekazania konkretnej materii orzeczniczej kognicji Unii. Traktatowe zobowiązania egzekucyjne nie mogą dotyczyć materii, która nie została *expressis verbis* organizacji międzynarodowej przekazana.

Po obaleniu w referendach w Holandii i Francji projektu traktatu konstytucyjnego Unia usiłuje drogą precedensów orzeczniczych TSUE uszczegółowić zobowiązania państw członkowskich. Stosuje przy tym dyktat orzeczniczy TSUE, procedury warunkowości praworządnościowej jednostronnie poszerzanej, jak i szantażu finansowego, aby zmusić Polskę, by poza zakresem przyznanych Unii kompetencji dokonała aktualnego ich przekazania uznając swoje zobowiązania formalne do respektowania orzeczeń TSUE bez względu na ich treść i materię. Poza traktatowe „kamienie milowe” dotyczą kompetencji, które nie zostały potwierdzone jako przyznane UE w trybie, który przewiduje polska Konstytucja (art. 90 pkt. 1). Skoro art. 19 Traktatu Unii Europejskiej mówi, że państwa członkowskie ustanawiają środki niezbędne do zapewnienia skutecznej ochrony prawnej w dziedzinach objętych prawem Unii, to trzeba wskazać, że prawem Unii jest objęty tylko taki zakres polskich zobowiązań, które zostały *expressis verbis* przekazane Unii. Unia drogą faktów dokonanych zwłaszcza dodatkowe kompetencje orzecznicze prowadzące do ręcznego sterowania ustrojem państwa polskiego i jego organów. Mamy do czynienia z taką próbą sił, gdzie stawką jest wasalizacja i „landyzacja” państwa polskiego i jego obywateli. Nie powinniśmy się godzić na to, byśmy własnymi środkami władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej rozszerzali zobowiązania polskich obywateli i polskiego państwa w zakresie ograniczającym ich suwerenność i łamiącym konstytucyjne zasady.

Formalne zobowiązania traktatowe Polski bez sformułowania ich materialnego zakresu w trybie przewidzianym Konstytucją są wykorzystywane przez TSUE do forsowania coraz to nowej ich treści. Treść orzeczeń i dyrektyw nieprzekazanych *expressis verbis* przez Polskę winna być traktowana jako zewnętrzna opinia UE póki polski Trybunał Konstytucyjny nie potwierdzi jej zgodności z polską Konstytucją i charakteru wiążącego jej przekazania. Nie mamy zamiaru występować z Unii, ale ją uzdrowić w sensie prawnym i faktycznym. Przywrócić jej organom praworządność. Istnieje pilna potrzeba sformułowania alternatywnego programu reformy Unii Europejskiej jako Europy Ojczyzn, z nienaruszalnością suwerenności i podmiotowości państw członkowskich w sposób bardziej ultimatywny w ślad za wyżej wspomnianym stanowiskiem premiera Mateusza Morawieckiego.

Orzecznictwo polskiego Trybunału Konstytucyjnego określa ramy konstytucyjnych przesłanek reformy sądownictwa.

- Kontrola rozproszona konstytucyjności sprawowania wymiaru sprawiedliwości służyć może zgodnie z art. 45 konstytucji stronom procesowym i uczestnikom wymiaru sprawiedliwości w charakterze pod sądnych.
- Ich wątpliwości co do spełnienia przez orzekających wobec nich składów sędziowskich kryterium właściwości, niezależności, bezstronności jako decydujących o niezawisłości sądu w procesie orzekania w ich sprawach, winny rodzić skutki kształtowania doboru sędziów w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości w konkretnej sprawie.
- Strony procesowe nie mają aktualnie decydującego wpływu na usuwanie ze składu wyznaczonego do

orzekania w ich konkretnym procesie sędziów, co do których mają poparte dowodami ich publicznej działalności, uzasadnione, subiektywne przekonanie o zagrożeniu swoich praw gwarantowanych konstytucyjnie (art. 45 konstytucji).

- Obowiązujący stan prawny nie daje stronom procesowym wystarczających środków dla uzyskania skutecznej kontroli co do zasiadania w sądach ich składach sędziów nieprowadzących działalności publicznej nie dającej się pogodzić z niezależnością i niezawisłością sędziów (art. 178 pkt 3 konstytucji).
- Fakt ten czyni niejednokrotnie problematycznym gwarancje realizacji praw pod sądnych wynikające z art. 45 konstytucji – to jest prawa do sprawiedliwego i jawnego rozpatrywania ich sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki przez właściwy, bezstronny i niezawisły sąd.
- Wprawdzie kodeksy proceduralne przewidują instytucję wyłączenia sędziego, ale poza wyłączeniem obligatoryjnym z mocy ustawy – pozostawiają samym sędziom decyzje co do wyłączenia ze składów orzekających sędziów, których udział w uzasadnionym obiektywnie przekonaniu strony procesowej mógłby wywołać wątpliwości co do jego bezstronności.
- Ten stan rzeczy przy obecnym natężeniu konfliktów pomiędzy stronami zaangażowanymi w polityczną wojnę z udziałem przedstawicieli zawodów prawniczych – w nie dość wystarczający sposób chroni prawa pod sądnych, stron postępowań, do realizacji podstawowej zasady wymiaru sprawiedliwości zawartej w art. 45 konstytucji.

Zakres łamania przez zaangażowanych w działalność publiczną przedstawicieli zawodów prawniczych konstytucyjnej zasady legalizmu (art. 7 konstytucji) przewidującej działania wyłącznie na podstawie i w granicach prawa – a w stosunku do sędziów zakazu prowadzenia działalności publicznej nie dającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów (art. 178 pkt. 3) – czyni celowym proceduralną i materialnoprawną wzmocnioną obronę praw podsądnych wynikających z systemu prawa krajowego i międzynarodowego (art. 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i art. 45 konstytucji RP). Kształtowanie sądowniczych składów orzekających byłoby oddane stronom poddającym się ich orzecznictwu.

Wychodząc z tych przesłanek, dla przeciwwagi rozproszonej dywersji antykonstytucyjnej opozycji sędziowskiej – proponuję nowelizację procedur postępowań sądowych wprowadzającą w fazie wstępnej postępowania możliwość korygowania (dobierania) według woli stron procesowych składu personalnego sądu rozpatrującego ich stan faktyczny poddany osądzeniu pod kątem realizacji wyżej wspomnianej gwarancji konstytucyjnej z art. 45 konstytucji i art. 6 Europejskiej Komisji Praw Człowieka.

W przypadku wyłączenia wszystkich sędziów danego sądu drogą losowania byłby powoływany skład sądu z KORPUSU SĘDZIÓW POLUBOWNYCH – posiadających status sędziego, powoływanych przez prezydenta do tej roli kadencyjnie. Najwyższy czas aby instytucjonalny zakres reformowania władzy sądowniczej poddać w pełni oddolnej woli tych, wobec których ma być świadczona.

27 maja 2023

Bitwa o Biały Dom właśnie się zaczęła



Marek Bober

**WIDZIANE
Z CHICAGO**

■ W weekend Memorial Day, czyli dzień wieńczenia grobów, a dokładniej dzień oddawania hołdu amerykańskim żołnierzom i weteranom, Stany Zjednoczone wkroczyły z polityczną decyzją oczekiwaną od miesięcy – kandydaturę na stanowisko prezydenta zgłosił Ron DeSantis, gubernator Florydy. I choć w federalnej komisji wyborczej pretendentów do Białego Domu zapisano w tej chwili kilkuset, w najbliższym czasie liczyć się będzie tylko jedno: pojedynek w republikańskich prawyborach Donald Trump – Ron DeSantis.

Zgłoszą się zapewne kolejni kandydaci po stronie Republikanów i Demokratów, lecz raczej nie będzie to miało większego znaczenia. Oprócz starcia Trump – DeSantis ważne będzie jeszcze jedno: czy stan zdrowia urzędującego prezydenta Joe Bidena pozwoli mu na ponowne kandydowanie, bo sama chęć ubiegania się o najważniejsze polityczne stanowisko na świecie o niczym jeszcze nie świadczy. Wielu komentatorów zastanawia się jak będzie radził sobie Biden w ewentualnej drugiej kadencji w podsztywnym już wieku. Osobiście stawiam pytanie, czy on dożyje w jako takim zdrowiu końca pierwszej kadencji.

Kandydat z Florydy

DeSantis jest młodym politykiem, ma 44 lata. Pierwszą kadencję gubernatorską, z poparciem Trumpa, wygrał minimalnie. Drugą natomiast wygrał bezapelacyjnie z 20-procentową przewagą. Ukończył uniwersytety Yale i Harvard, służył w Marynarce Wojennej, był kongresmanem. Zyskał większą popularność w czasie „pandemii Covid-19”, starając się jak najszybciej łagodzić restrykcje wobec ludzi i równie szybko uruchamiając normalne funkcjonowanie firm.

Gubernator Florydy i być może przyszły prezydent USA przeforsował ostatnio w stanowej legislaturze i podpisał kilka ważnych ustaw. W połowie kwietnia podpisał ustawę zakazującą aborcji po sześciu tygodniach ciąży, czyli mniej więcej – jak mówią znawcy – gdy po raz pierwszy można wykryć bicie serca dziecka. Podpisał nowe prawo zaostrzające kary za najcięższe przestępstwa. Na przykład gwałciciel dzieci kwalifikują się do kary śmierci z minimalnym wyrokiem dożywocia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Na początku maja przyjęto na Florydzie ustawę zakazującą korzystania w szkołach czy restauracjach z ubikacji i łazienek w oparciu o tzw. tożsamość płciową. De-



Ron DeSantis. Fot. Wikimedia

Santis podpisał ustawę mającą skutecznie zakazać używania na terenie Florydy waluty cyfrowej Banku Centralnego (CBDC). Zatwierdził ponadto ustawę eliminującą w szkolnictwie inicjatywy związane z szerzeniem tzw. różnorodności, równości i inkluzywności, będące narzędziem narzucania ideologii lewackiej. Jak zapowiedział, tak zrobił. Dobrze, że są politycy mający odwagę zmierzyć się z trudnymi sprawami. Dobrze, że są politycy zamieniający słowa w czyny.

Warto nadmienić, że wojnę na Ukrainie nazwał niedawno konfliktem regionalnym, który należy jak najszybciej zakończyć pokojem.

Kandydat z Karoliny Południowej

Nieco wcześniej pragnienie zasiadania w Białym Domu ogłosił jedyny czarnoskóry senator, 57-letni Tim Scott. To postać ciekawa, klasyczny przykład, że można w życiu wykorzystać szansę. To człowiek z rozbitej rodziny, bardzo ubogiej, z ciężko pracującą matką, ale chcący się uczyć i pracować. Po kilku sukcesach w lokalnej polityce trafił do Izby Reprezentantów, by ostatecznie znaleźć się w Senacie. I zamierzyć, nie bez podstaw, o prezydenturze.

Jest klasycznym konserwatyście, często podkreślającym ważność religii i rodziny. Nienawidzi

go radykalna lewica i przeogromna część społeczności afro-amerykańskiej. Mówi otwarcie rzecz niepopularną, lecz prawdziwą, że Ameryka nie jest krajem rasistowskim. Twierdzi, że rasistowska jest narracja radykalnej lewicy.

„Będę prezydentem, który obali liberalne kłamstwo, że nasz kraj jest zły – powiedział Scott. – Dwa lata temu przemawiałem do narodu i powiedziałem, że Ameryka nie jest krajem rasistowskim. Musimy przestać wymazywać naszych Ojców Założycieli i zacząć ich celebrować. Wreszcie – żarliwa wiara mojego dziadka nie była tylko wiarą w dobro naszego narodu. Była to wiara w dobro samego naszego Boga. Będę prezydentem, który powstrzyma

atak skrajnej lewicy na naszą wolność religijną. Zachowam jeden niepodzielny naród pod rządami Boga, w którym oddajemy cześć naszemu Stwórcy i szanujemy każde niewinne życie”.

Senator zaprezentował również w kilku punktach program polityczny. Chce się skoncentrować na zabezpieczeniu granic i kontrolowaniu imigracji, chce wzmocnienia wojska i gospodarki. Rywalizację USA z Chinami nazwał nową zimną wojną, którą – jeśli zostanie prezydentem – wygra.

Mało znaczące sondaże

Donald Trump doskonale wie, że na tym etapie jego największym przeciwnikiem nie jest Joe Biden, lecz DeSantis. W sondażach Trump wygrywa z gubernatorem Florydy, mało tego – wygrywa z obecnym prezydentem. Sondaże są w tym momencie mało ważne. Przy dość skomplikowanym i zróżnicowanym w zależności od stanu systemie prawyborów jeszcze wszystko może się zdarzyć. W historii było już wiele przypadków, gdy początkowi faworyci odpadali w rozgrywce. Chociażby cztery lata temu Kamala Harris była jedną z pierwszych kandydatów, którzy się wycofali. Z kolei Biden na początku zaliczał jedne z najsłabszych wyników a ostatecznie zameldował się na pierwszym miejscu na mecie. W międzyczasie oboje się zwalczali, często wyzywali od najgorszych, aż w końcu trafili do Białego Domu.

DeSantis jest poważnym kandydatem do wygrania prawyborów Partii Republikańskiej. Scott szanse ma dużo mniejsze, ale nie należy wykluczać, że będzie proponowany na wiceprezydenta.

Tak czy inaczej, losy świata na kilka następnych lat właśnie się decydują. Także losy Ukrainy. Można nawet powiedzieć, że one teraz bardziej się decydują w Ameryce, niż na samej Ukrainie.

Dobrze byłoby, aby w Europie, w tym w Polsce, pamiętać, że to nie Ukraina będzie tematem tych wyborów.



Wybory w Grecji

Szok i Deos



Andrzej Bafalukosz

KORESPONDENCJA Z GRECJI



■ Wybory parlamentarne w Grecji, które odbyły się 21 maja 2023 wywołały przysłowiowe „trzęsienie ziemi” na wydawałoby się dość stabilnej scenie partyjnej układanki.

Polityczne sejsmografy jakimi są sondaże przedwyborcze choć wytypowały jednomyślnie zwycięzcę wyborów, nie przewidziały ogromnej przewagi jaką uzyskała ostatecznie triumfująca centroprawicowa Nowa Demokracja nad główną partią opozycyjną Syriza. Nawet exit poll ogłoszony o godz. 19 wraz z zamknięciem urn wyborczych informował o maksymalnie 10% różnicy, tymczasem dwie godziny później było już wiadomo o rozżwie dwa razy większym. Pierwszy raz w historii greckich wyborów parlamentarnych wynik przekroczył tak radykalnie oczekiwania. Ok. godz. 22 po sprawnym przeliczeniu prawie 98% głosów podekscytowani dziennikarze wszystkich mediów poinformowali opinię publiczną, że partia Nowa Demokracja uzyskała ponad 40% głosów, podczas gdy jej największy polityczny przeciwnik lewicowa Syriza otrzymała tylko 20%. Oprócz tych dwóch politycznych hegemonów pozostałe trzy partie, które przekroczyły 3% próg wyborczy to socjalistyczny, centrolewicowy Pasok, z ok. 12%, Komunistyczna Partia Grecji z ponad 7% oraz uważane za skrajnie prawicowe ugrupowanie pod nazwą Grecie Rozwiązanie (w sensie metoda) z 4,5%.

Wyniki greckich wyborów zostały rozpowszechnione również przez zagraniczne agencje informacyjne wywołując zrozumiałe wrażenie „ale mało kto poza granicami Grecji wie, że thriller wyborczy dopiero się zaczął i może być jeszcze pełen zwrotów akcji i suspensów. Podczas poprzedniej kadencji 2015-2019 rządząca Syriza przeformowała ustawę zmieniającą system wyborczy umacniając proporcjonalność wyborów poprzez likwidację tzw. bonusu wyborczego dla zwycięzcy. Teoretycznie zmiana ta miała na celu wprowadzenie koalicyjności uniemożliwiając samodzielne rządy, gdyż uzyskanie przez jakąkolwiek partię 50% wydawało się mało prawdopodobne. Na wypadek niemożności sformowania koalicji, następne tury wyborcze ułatwiały powołanie rządu wprowadzając ponownie odpowiednie zależności od uzyskanego wyniku premiowanie zwycięzcy. Tak więc pomimo sukcesu Nowej Demokracji i po zapowiedzianej przez nią odmowie stworzenia koalicji dojdzie 25 czerwca do powtórnych wyborów i w razie replikacji wyników z pierwszej tury dojdzie do wyłonienia silnego samo-



dzielonego konserwatywnego rządu. Tymczasem zszokowana dotkliwą porażką Syriza i jej przywódca Alexis Cipras próbują mając przy tym niewiele czasu zrozumieć przyczyny wyborczej klęski i przeprojektować swoją narrację by przynajmniej częściowo odrobić straty z fatalnej dla nich pierwszej tury. Na ile to się uda trudno powiedzieć zwłaszcza, że partia od dłuższego czasu nastawiona na totalną konfrontację wydaje się być niezdolna do racjonalnej analizy sytuacji i wyciągnięcia właściwych wniosków. Zostawiając ekspertom i politologom ocenę politycznych przyczyn i skutków takich a nie innych wyników wyborów w Grecji, niżej podpisany chciałby zaakcentować te według niego istotne czynniki, które zdecydowały o takim przebiegu wyborów i które mogą wzbudzić zainteresowanie przeciętnego polskiego obserwatora politycznej sceny.

Chciałbym zwrócić uwagę na pewne podobieństwa między grecką i polską opozycją, które być może przyniosą podobny efekt wyborczy. Przede wszystkim Syriza, która przegrała wybory w 2019 niewielką różnicą uznała, iż ponowne zdobycie władzy jest na wyciągnięcie ręki, wystarczy zaostrzyć narrację i prezentować się ciągle jako partia protestu. Ta toksyczna postawa przejawiała się m.in. w ciągłych awanturach podczas posiedzeń parlamentarnych czy też powie-

lianiu fake newsów, personalnych ataków itp. co w jakiejś mierze przypomina działania polskiej opozycji. Ale podobieństw między Syriza i PO jest dużo więcej. W związku z naciskiem uchodźczym na wschodnią granicę częściowo wspieranym i organizowanym przez Turcję Syriza niestety od jakiegoś czasu przyłączyła się do oskarżeń lewicowych NGO pod adresem greckich władz o brak humanitaryzmu wobec nielegalnych imigrantów i stosowanie push back-ów na morzu. To też znajduje swoją analogię w konflikcie granicznym polsko-białoruskim. Innym poważnym ewenementem było złamanie przez Syriza pewnego tabu, jakie obowiązywało przez dziesięciolecie czyli solidarności ponad podziałami w sprawach obrony państwa, zakupów zbrojeniowych i ogólnie polityki zagranicznej. Posłowie Syriza zagłosowali przeciwko amerykańskiej bazie w Aleksandrupolis, zakupie francuskich samolotów Raphael i fregat rakietowych Belhara, ale też poddali w wątpliwość przyszłe zakupy F-35 od Stanów Zjednoczonych. Staczając się na pozycje totalnej negacji przedstawiciele Syriza wysuwali tezy sprzeczne z twardymi faktami. Oskarżano rząd o gospodarczą katastrofę, spadek jakości życia, obarczono winą za wzrost inflacji i kosztów życia. Jednakże artefakty i statystyki międzynarodowe choćby Eurostatu czy

MFW mówiły co innego, że mianowicie kraj dość dobrze sobie poradził z kryzysem covidowym i inflacyjnym a w pewnych dziedzinach jak np. inwestycje dokonał dużego postępu. Zmniejszyło się też dość znacznie bezrobocie będące zmorą ostatnich kilkunastu lat. Oczywiście Grecji daleko jeszcze do Szwajcarii, Irlandii czy Lichtensteinu jednak w żadnym wypadku nie jest to Republika Środkowoafrykańska jak to rozgrzani propagandyści opozycji utrzymywali. To zaklamanie rzeczywistości przez polityków Syriza spowodowało utratę kontaktu z rzeczywistością i z częścią racjonalnych wyborców, którzy ich w poprzednich latach popierali. Uzyskując poklask swego radykalnego, fanatycznego elektoratu zniechęcili większość centrowych wyborców, którzy po dość długim wahaniu a często w ostatniej chwili zwrócili się ku normalności popierając Nową Demokrację.

Zawiódł również przewodniczący Syriza Alexis Cipras, który nie zdołał powściągnąć swych radykalnych towarzyszy wygadujących często wzajemnie sprzeczne komunikaty wprowadzające chaos do partyjnej przedwyborczej kampanii. Cipras podobnie jak Donald Tusk przeczuwając porażkę wyborczą (ale nie klęskę) zapowiadał stworzenie rządu koalicyjnego, co jednak nie spotkało się z entuzjastycznym odzewem wśród

mniejszych partii. Syriza często atakowała firmy przeprowadzające sondaże oraz niektóre media, że sprzyjają obecnemu rządowi. Tzw. „sondażownie” skarżyły się, że doświadczają bullyngu ze strony harcówników Syriza i starają się stosować algorytmy łagodzące różnice wynikające z badań, w konsekwencji czego wyniki wyborów z 21 maja okazały się dużo bardziej nielitościwe dla opozycji ale też zachwiały wiarygodność sondaży, nawet jeśli były one zgodne z ogólnym trendem wyborczym. Dzień powyborczy obfitywał w mediach klasycznych ale też w społecznościowych sensacyjnymi nagłówkami gdzie zwrot „szok i deos” był często przytaczany. Trzeba wyjaśnić, iż frazes ten jest w języku greckim używany w okolicznościach, które ze względu na ich wyjątkowy przebieg i nadzwyczajne efekty wywołują pewnego rodzaju szok oraz uczucie połączonego lęku z respektem. Mój osobisty, instynktowny osąd przewiduje możliwość podobnego rozstrzygnięcia w październikowych wyborach do polskiego parlamentu czyli wyraźnego, nie podlegającego dyskusji zwycięstwa Zjednoczonej Prawicy.

Przyznaję, że miałbym niezłą frajdę mogąc zatytułować powyborczy wynik w polskich wyborach w ten sam sposób czyli Szok i Deos. Oby.

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA



Moda na Zofię Kossak

■ Była autorkę bestsellerów, kandydatką do literackiego Nobla, przeżyła rewolucję bolszewicką, dwie wojny światowe, przymusową emigrację i lęk przed trzecią wojną. Nazywano ją „natchnieniem polskiego Podziemia”, Jan Karski mówił: „kochałem ją”, a Władysław Bartoszewski opowiadał, jak ważne było spotkanie w czasie okupacji z Zofią Kossak Szczucką-Szatkowską, jej charyzmatyczny wpływ na młodych, których uczyła odwagi i zaufania.

Dziś wciąż za mało o niej wiemy, a jeśli już wiemy – najczęściej upraszczamy, widząc „kolumnową”, surową działaczkę, albo antysemitkę, która ratowała Żydów, żeby ochrzcić ocalone dzieci. Ani jeden, ani drugi obraz nie jest prawdziwy.

Poznałam Zofię Kossak od prawie trzydziestu lat, odkąd jako dziennikarka trafiłam do jej ostatniego domu w Górkach Wielkich, chcąc napisać tylko jeden tekst. Tymczasem spotkałam córkę pisarki, Annę Bugnon-Rosset i byłam świadkiem odnalezienia obrazu Witkacego, ekscentrycznego twórcy spowinowaconego z rodziną Kossaków – i tak zaczęła się moja przygoda, która zaowocowała pracą doktorską na jej temat, kierowaniem przez jakiś czas jej muzeum, pisaniem kolejnych publikacji i książek, m. in. *Zofia Kossak. Opowieść biograficzna. Kossakowie. Biały mazur* i – wreszcie – najnowszym filmem dokumentalnym, który sfinalizowany został w tym roku.

„Mulier fortis. Kobieta mężna” w reżyserii Adama Kraśnickiego można zobaczyć na VOD TVP, a premiera telewizyjna odbyła się w marcu. Miałam szczęście uczestniczyć w powstawaniu tego dokumentu, byłam konsultantką i jedną z osób opowiadających o Zofii Kossak. Pojechałam z ekipą filmową do Anglii, na Lubelszczyznę i Śląsk.

Proszę wybaczyć, że artykuł dotyczący Zofii zaczynam od opowieści o sobie, ale chcę podać powód, dla którego od lat walczę ze stereotypowym interpretowaniem życiowych i literackich dokonań autorki „Krzyżowców”. Chcę też pokazać kulisy powstania filmu i odpowiedzieć na pytanie, które często zadają mi ci, którzy od początku do końca go obejrzeni – dlaczego pieprzam się, że wróci moda na Zofię Kossak, skoro z całą pewnością coraz mniej się ją pamięta.

Urodziła się nad krętą i pozornie tylko spokojną i leniwie płynącą rzeką, a rzeka ta może być symbolicznym opisaniem jej życia, które było pełne niespodziewanych zakrętów, gwałtownych zwrotów akcji, chociaż zaczę-



Zofia Kossak fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

ło się zwyczajnie – w szlacheckim dworze w Kośminie nad Wieprzem. I dworek, i meandrującą rzekę zobaczymy w ujęciach z drona, w filmie „wystąpił” także dworek w Osmolicach, sąsiadujących z Kośminem. Tam młoda Zofia tańczyła na dożynkach, być może zakochała się w chłopaku, który przyjechał z Warszawy i zagrał walca, a zagrał tak pięknie, że zachwycona pomyślała i zanotowała w pamiętniku: Żeby kogoś dobrze poznać, nie dosyć jest zjeść z nim beczkę soli – trzeba jeszcze usłyszeć, jak gra walca.

Często, wspominając Zofię Kossak mówi się o tym, że pochodziła ze znanej rodziny malarzy i literatów (dziadkiem był Juliusz Kossak, bliźniaczym bratem jej ojca – Wojciech; kuzynem – Jerzy; kuzynkami Lilka: Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Madzia: Magdalena Samozwaniec); ale zapomina się, że dziedziczyła i talent, i urodę. Kossakowie byli postawni i przystojni, a żona Juliusza, Zofia z Gał- ▶



Na Trossell Farm w Kornwalii.



► czyńskich była piękną kobietą. Jej imienniczka Zofia z Kossaków Szczucka-Szatkowska miała duże oczy, była zgrabna i wysportowana (świetnie jeździła konno). Gdyby rzeka jej życia nie obfitowała w zakręty, zapewne żyłaby długo i szczęśliwie w dworcu, poślubiwszy kogoś z herbowych sąsiadów.

Tak się jednak nie stało, a pierwszy życiowy dramat rozegrał się nad rzeką, w której utonął jej brat.

Kiedy w ubiegłym roku pod koniec lata stanęliśmy nad rzeką, a autor zdjęć – Sławomir Chudowski przygotowywał sprzęt, zobaczyliśmy niecodzienne zjawisko. Był piękny dzień, zachodziło słońce – słońce „potrójne”. Po lewej i prawej stronie widać było odbicie światła. I widać je także w jednym z kadrów, kiedy tęczę odbija się w wodzie. Prawdopodobnie to właśnie „słońce poboczne” – (tak naukowcy określają wspomniane zjawisko optyczne) – świeciło w dniu, w którym reżyser Adam Kraśnicki tworzył swoją opowieść o Zofii.

Prace nad filmem skomplikowała najpierw pandemia, a potem wybuch wojny, więc ważny epizod życia Zofii, który rozegrał się w Skowrońkach, Nowosielicach i Strokonstantynowie, musiał zostać opowiedziany i zilustrowany dokumentami i fotografiami. Ukraina bowiem znowu była w ogniu, jak wówczas, kiedy Zofia Kossak próbowała się na tej ziemi zakorzenić i ekipa filmowa nie mogła wyjechać za wschodnią granicę, a przecież tam właśnie Zofia wyszła za mąż, urodziła dwóch synów i cudem przetrwała rewolucję bolszewicką. Opisała to wszystko, czego doświadczyła w „Pożodze”, która okazała się być bestsellerem i tak oto rozpoczęła się kariera literacka (a nie, jak planowała, malarska) wnuczki Juliusza Kossaka.

Cudem ocalona z rewolucyjnej pożogi, zamieszkała na Śląsku Cieszyńskim i odnalazła szczęście, które, zdawać by się mogło, opuściło tę śliczną, radosną i energiczną dziewczynę urodzoną pod złą gwiazdą (tak twierdził jeden z astrologów). Zagłada domu, śmierć męża, cierpienie i lęk pozostały za nią. Wyszła po raz drugi za mąż, urodziła kolejne dzieci i wydała kolejne książki. Była bardzo znaną pisarką tłumaczoną na wiele języków świata, a jej epopeja krucjat: „Krzyżowcy”, „Król trędowaty” i „Bez oręża” miała szansę na Nagrodę Nobla i hollywoodzkie ekranizacje.

Zamiast tego następowały kolejne katastrofy – wybuch wojny, obóz koncentracyjny, Pawiak, wyrok śmierci – i kolejne cudowne ocalenia. Z tych czasów, jak sama mawiała – wyszła w najgorszej formie fizycznej, ale najlepszej duchowej. I z tych czasów zapamiętamy Zofię, która pisze broszury i ulotki, ratuje Żydów (słynna „Zegota” to jej dzieło), mówi: „Jeśli jesteście Panu Bogu potrzebni, to On nas prze-



Zdjęcia na Trossell Farm w Kornwalii.

chowa”, uczy odwagi, spokoju i prawdziwej miłości – miłości do swojej ojczyzny, do ludzi zagrożonych, umierających, ginących. Do ludzi, których nigdy nie wolno minąć obojętnie, choćby trzeba było pokonać własny lęk, a nawet i narazić swoje życie. A wszystko to w imię Boga, bo dodać trzeba, że wiara Zofii Kossak była

mocna, silna i bardzo daleka od dewocji.

Film „Mulier fortis” stara się o tym wszystkim opowiedzieć, choć nie sposób zamknąć w kilkudziesięciu minutach życia tak bogatego, że byłby doskonałym materiałem na sensacyjny serial. O pisarce mówią członkowie jej rodziny – wnuczka i wnuk

(Anna Fenby Taylor, Franciszek Rosset) a także Barbara Gruszka-Zych, prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, prof. Ryszard Koziołek, dr Andrzej Sznajder, ks. prof. Jerzy Szymik, Krzysztof Zanussi, abp Damian Zimoń i prof. Jan Żaryn.

Na koniec podzielę się jeszcze jedną niezwykłością, którą można nazwać zbiegiem okoliczności, ale dla mnie jest czymś znacznie więcej. To prezent od Zofii. Prezent подарowany z tamtej strony rzeki życia.

Trossell Farm w Kornwalii, dokąd pojechaliśmy w upalne dni sierpnia, to miejsce pozornie tylko epizodyczne w jej biografii. Tu była „zawieszona jak Twardowski na księżycu” – to jej własne słowa oddające czas prawie dwunastoletniej emigracji, którą spędziła ciężko pracując na farmie, w oddaleniu od świata, kiedy napisała niewiele, choć powstałe wtedy „Przymierze” znowu zainteresowało wytwórców filmów w Hollywood.

Ekranizacja nie powstała, obietnica Nobla pozostała obietnicą, emigracja uwierzyła absurdalnej plotce, że Zofia Kossak była sekretarką Bieruta, mąż przeżywał ciężkie załamanie nerwowe, wciąż mówiono o trzeciej wojnie, „świat wisiał na pękającej nitce”, a jednak... A jednak Zofia zarażała spokojem i optymizmem. I to był jej prezent, ponieważ wówczas, kiedy tuż po pandemii wybuchła wojna, kiedy zdawało się, że znowu świat wisi na pękającej nitce, leczyłam własne lęki lekturą jej listów z tamtych lat. Jest w nich taki spokój, jest w nich humor i zgoda na świat, na własny, trudny los, jest zaufanie i nadzieja – jest wszystko. A jeśli dodam jeszcze, że „przypadkiem” zdjęcia na Trossell Farm przypadły akurat w dniu jej urodzin, już nic więcej dodać nie muszę, oprócz słów wielkiej wdzięczności za tę przygodę i modę na Zofię Kossak, która w moim życiu zaczęła się prawie trzydzieści lat temu i trwa.

Niech trwa.



Nad Wieprzem na Lubelszczyźnie.

Zagłada ziemiaństwa

■ Pozostaje osiągnięciem komunistów i postkomunistów, a przedtem okupantów niemieckich i rosyjskich podczas II wojny światowej, że ziemiaństwo – wypędzeni z majątków i siedzib rodowych – przestali istnieć jako warstwa opiniotwórcza, przywódcza czy wzorcotwórcza.



JERZY PAWLAS

W 1939 roku w granicach II Rzeczypospolitej było ok. 19 tys. siedzib ziemiańskich (15 tys. dworów i 4 tys. pałaców), z czego na Kresach – 4 tys. dworów i pałaców. Obecnie zaledwie ok. 150 takich obiektów zachowało walory architektoniczno-historyczne. Jest to więc nawet nie 1% stanu przedwojennego.

Chociaż nie sposób stwierdzić, by siedziby ziemiańskie służyły prowadzeniu gospodarstwa rolnego czy produkcji rolnej – to były konfiskowane pod pretekstem reformy rolnej. Chociaż zmienił się ustrój – nie sformułowano regulacji reprivatyzacyjnych. Właściciele latami dochodzili swych praw na drodze postępowania administracyjnego. W 2010 roku Trybunał Konstytucyjny orzekł, że powinni występować z roszczeniami do sądów powszechnych. Wszczęte już postępowania umorzono. Droga przez mękę rozpoczęła się na nowo. Komuniści ograbili ziemian z majątku, ziemi, lasów, ale także z domów rodzinnych, z mebli, księgozbiorów, dzieł sztuki, zabytkowej broni. Tymczasem siedziby ziemiańskie służyły nie tylko ich właścicielom. Były przecież swoistymi ośrodkami kultury, edukacji. Uczyły patriotyzmu i demokracji, działania dla wspólnego dobra, nie mówiąc o agrokulturze.

Zniszczenie świata dworów położyło kres tradycji ziemiańskich. Zlikwidowało warstwę społeczną, która poczuwała się do obowiązków wobec wspólnoty, do obrony państwowości. Takie były rzeczywiste cele reformy rolnej, o czym świadczą dobitnie ruiny zabytkowych siedzib ziemiańskich, w końcu dorobku naszej kultury.

W wielu krajach turystyka jest znaczącym impulsem rozwoju gospodarki. W naszym kraju może być podobnie. Tym bardziej, że 87% ankietowanych uważa, że zabytki mogą być szansą dla miejscowości, w której się znajdują. 85% uznaje ważność ochrony zabytków. Minister Piotr Gliński, inaugurując kampanię Narodowego Instytutu Konserwacji Zabytków – „Warto inwestować w zabytki” – powiedział: zabytki to nasza historia, nasza tożsamość, nasza wspólnota, ale także szanse rozwojowe, na przykład możliwości przyciągania turystów.

Dziedzictwo

W rejestrze Narodowego Instytutu Dziedzictwa w 2015 roku

zapisano 4834 dwory i pałace – z czego ok. 3000 to pozostałości po polskim ziemiaństwie (reszta na Ziemiach Zachodnich i w miastach). Prawie 2000 jest zrujnowanych, bez parków, zabudowań gospodarczych. Nie zachowało się w całości ani jedno założenie dworskie z całą infrastrukturą (park, obiekty gospodarcze), które przetrwało II wojnę światową i czasy PRL. Eksperti Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego szacują, że można by jeszcze uratować ok. 1 tys. dworów i pałaców, znajdujących się we władaniu państwa, samorządów i osób prywatnych.

Prawie 2 tys. dworów i pałaców – opuszczonych i zdemolowanych – po prostu ginie. We władaniu Agencji Nieruchomości Rolnych Skarbu Państwa w 2010 roku były 774 zespoły dworsko-pałacowe (do 325 zgłoszono roszczenia). Od początku istnienia Agencji do 2009 roku wydano na „zabezpieczenie” tych obiektów 110 mln zł. Tak więc państwo, które przejęło siedziby ziemiańskie na podstawie dekretu PKWN, wydaje pieniądze (cóż za niegospodarność), zamiast zwrócić je właścicielom (i pozbyć się kosztów).

W najgorszej sytuacji są założenia rezydencjonalne – niegdyś przykładem dobrej architektury i świetnego gospodarowania, skarbnice znanych kolekcjonerów, pamiątek rodzinnych starych polskich rodów. Kapitałnego remontu wymaga 38% dworów, 37% pałaców, 41% parków. Dość powiedzieć, że ani jeden dwór z należąca do niego ziemią i zabudową gospodarczą nie ostał się po 1944 roku w rękach prywatnych. Jak na razie notuje się tylko 30 przypadków powrotu właścicieli po 1989 roku do swoich dworów i pałaców. Jak dramatyczne są próby powrotu do rodzinnych gniazd świadczą przypadki (ok. 40) odkupienia siedzib od Agencji Nieruchomości Rolnych po latach procesowania się, i potem sprzedanych z braku środków na remont i utrzymanie dworu czy pałacu.

Ostoja

Dwory czy pałace utrzymywały się z gospodarki rolnej, leśnej, hodowli, przetwórstwa. Odcięte od tych dochodów, muszą obumierać. Gdy umieszczano w nich administrację pegeerowską, spółdzielnie rolnicze, szkoły czy ośrodki zdrowia – z re-

gulu kończyło się to dewastacją i porzuceniem obiektu. Obecnie w pozostałościach podworskich lokuje się hotele, pensjonaty czy ośrodki konferencyjno-szkoleniowe – najczęściej pozbawione historycznego charakteru. W dworach i pałacach znalazło siedzibę 60 państwowych i samorządowych muzeów regionalnych i biograficznych. W 20 takich obiektach mieszczą się instytucje kościelne. Zaledwie ponad 20 dworów i pałaców (w dobrym stanie lub w remoncie) odkupili od państwa przedwojenni właściciele.

Nie ulega wątpliwości, że siedziby ziemiańskie to symbole kultury i tożsamości społeczeństwa. W innych krajach właściciele mogą liczyć na pomoc państwa czy organizacji pozarządowych. W naszym kraju – dobrze, jeżeli potomek odzyska gniazdo swych przodków i zdoła je odremontować. We wszystkich krajach zachodnioeuropejskich majątki ziemskie należą do potomków tych, do których należały przed wojnami. Tylko w naszym kraju nie są one w rękach właścicieli, bo nie przeprowadzono reprivatyzacji. Jakby nadal obowiązywały stalinowskie dekry PKWN.

Powinności

Ewolucja roli społecznej (rycerz, szlachcic, ziemianin) to nie tylko przynależność do uprzywilejowanej warstwy. To także prawa i obowiązki. Szlachcic miał prawo do posiadania ziemi, do wybierania króla. Jego obowiązkiem było stawianie z drużyną w obronie króla i państwa. Wszyscy członkowie stanu szlacheckiego byli równi („szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”), co potwierdzała Konstytucja 3 Maja. W XVII wieku szlachta stanowiła 10% mieszkańców I RP. Jej przywileje polityczne (m.in. wybór króla) predestynowały I RP do miana najstarszej demokracji nowożytnej.

Ziemiaństwo było ostoją tradycyjnych wartości chrześcijańskich, patriotyzmu, walki o wolność ojczyzny. Kolejne powstania w XIX wieku przynosiły represje (konfiskata majątku, zesłania). Z drugiej strony rozwijała się praca organiczna (modernizacja gospodarki rolnej, podnoszenie poziomu życia i kultury). Ziemiaństwo zakładali szkoły i ochronki, organizowali biblioteki i kółka rolnicze. Powstawały organizacje gospodarcze, banki wspierające gospodarkę rolną. Funda-

cje wspierały oświatę i kulturę, sprzyjały powstawaniu społeczeństwa obywatelskiego.

Wiejskie dwory i pałace zamieszkiwały trzypokoleniowe rodziny (średnio 6-8 osób) oraz rezydenci, z reguły wywodzący się z danego rodu. Do ziemiaństwa zaliczano również szlachtę zagrodową (od 50 ha ziemi). W II RP ziemiaństwo stanowili ok. 1% ludności kraju. Wśród 350 tys. osób było 20 tys. właścicieli ziemskich, ich rodziny zamieszkałe we dworze (140 tys.) oraz 90 tys. potomków ziemian żyjących w miastach.

Przedwojenna parcelacja (dobrowolna i przymusowa) przekazała w ręce chłopów 2,8 mln ha ziemi oraz ok. 0,6 mln ha za zniesienie służebności. Stan posiadania ziemi w II RP wynosił 6,8 mln ha ziemi i 5 mln ha lasów, podczas gdy przed I wojną światową na terenie trzech zaborów własności rolnej i leśnej – 27,8 mln ha.

Wybuch II wojny światowej przyniósł likwidację elit społecznych (wspólne przedsięwzięcie Gestapo i NKWD), ale też zbrojny opór (naturalna baza to majątki ziemskie). Już w 1939 roku powstała paramilitarna organizacja ziemiańska – „Uprawa-Tarcza”, wspierająca walkę z okupantami. Jeden z założycieli to płk Tadeusz Komorowski – „Bór”. Organizacja wspomagała zbrojne podziemie, wykupywała więźniów. Organizowała tajne nauczanie, pomagała uciekinierom (m.in. z Powstania Warszawskiego i ludności żydowskiej).

Bezprawie

Na podstawie Bierutowskiego „dekretu o reformie rolnej” (6 IX 1944) i dekretu (12 XII 1944) o upaństwowieniu lasów (powyżej 25 ha) pozbawiono majątków wszystkich właścicieli ziemskich bez odszkodowania (nb. dekry poza konstytucyjne). Konfiskata obejmowała nie tylko nieruchomości, ale także inwentarz żywy, zasiewy i ruchomości (meble, dzieła sztuki, przedmioty użytku osobistego). Wypędzeni nie mogli osiedlać się w powiecie, na terenie którego znajdował się majątek. W latach 1944-1947 zagarnięto 10 tys. majątków ziemskich o łącznej powierzchni 3,5 mln ha (średnia wielkość majątku ok. 350 ha). Z tego 1,2 mln ha rozparcelowano 387 tys. rodzin chłopskich (średnio ponad 3 ha

ziemi). Takie małe gospodarstwa nie miały racji bytu. Perspektywą były PGR-y i spółdzielnie rolnicze.

Ustawa o zwrocie bezprawnie zagarniętego mienia przez władze komunistyczne nie została uchwalona. W sondażu IBRIS z 2016 roku 57% ankietowanych opowiedziało się za przeprowadzeniem reprivatyzacji. Ostatnia propozycja Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego to stworzenie instrumentu finansowego, na podstawie istniejących roszczeń. Podobne mechanizmy finansowe, bazujące na pieniądzu fiducjarnym, są używane w USA, a także w UE przez Europejski Bank Rozwoju.

Podmiana

Eksperti Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego szacują liczbę potomków ziemian, mieszkających w naszym kraju, na ok. 30 tys., czyli ok. 10% ziemian z 1939 roku. Poza tym ok. 20 tys. potomków ziemian mieszka za granicą (emigranci, zesłańcy). Z racji tej liczby i degradacji materialnej, ziemiaństwo nie może odgrywać swej tradycyjnej roli. Tym bardziej, że wiele wysiłków pochłania walka o poszanowanie prawa własności i zwrot majątków ziemskich, bądź uzyskanie odszkodowania.

Jak na razie nie ma centralnego ośrodka (muzeum ziemiaństwa), gromadzącego archiwalia, dzieła sztuki, związane z historią ziemian, ich siedzib, obyczajów i tradycji. Nie ma ogólnokrajowej placówki (są lokalne), dysponującej biblioteką, która prowadziłaby badania nad historią ziemiaństwa, czy zajmowałaby się edukacją w tym zakresie.

W obronie dobrego imienia szlachty I RP występuje również Związek Szlachty Polskiej. Stara się otaczać opieką zabytki kultury szlacheckiej, promować i popularyzować kulturę i tradycje szlacheckie. Niemniej możliwości 800 członków Związku z 450 rodzin szlacheckich są oczywiście ograniczone. Co innego potomkowie moskiewskich nasłańców, jacy rozpanoszyli się w naszym kraju, w Polskiej Rzeczypospolitej Grubokreskowej. Dysponując zasobami materialnym i medialnym, mogą skutecznie odgrywać rolę warstwy opiniotwórczej. Tzw. resortowe dzieci triumfują.



Złoty pieniądź z Teksasu



ADAM
MAKSYMOWICZ

■ Nieprzychylnie Stanom Zjednoczonym media nieustannie głoszą o końcu globalnej waluty tego kraju, jaką jest dolar. Narastający dług USA powoduje utratę zaufania do niej i naturalny w tej sytuacji wzrost znaczenia konkurencyjnych środków płatności. Jednak eksperci finansowi, którzy prezentują obiektywne warunki funkcjonowania dolara, pomimo wszystkich niekorzystnych dla niego relacji, dalecy są od przekonania o jego upadku w światowych finansach.

Niezachwiana pozycja dolara

Aktualnie decydują o tym dwie jego szczególne właściwości. Pierwszą z nich jest przystosowanie światowego rynku do obrotu tą właśnie walutą. A rynek ten nie chce ponosić ryzyka i kosztów dostosowywania się do innego pieniądza, który miałby zastąpić dolara. Drugim i znacznie ważniejszym czynnikiem pozycjonującym jego rolę, jest faktyczny brak konkurencji jakościowej, przez którą rozumieć należy zasadę jego emisji. Jak dotychczas podstawowe waluty na naszym globie mają ten sam charakter pieniądza fiducjarnego, czyli przyjmowanego na wiarę w stosunku do jego emitenta. Okazuje się, że niezależnie od wszystkich trudności jakie związane są z dolarem, powszechnie istniejąca wiara w jego użyteczność na rynkach finansowych na razie jest jeszcze nie zachwiana. W bardzo ograniczonym stopniu następuje powolny spadek jej znaczenia jako waluty rezerwowej w centralnych bankach na całym świecie. Dzieje się tak dlatego, że wszystkie inne waluty chcące zająć miejsce dolara, tak samo poddawane są presji inflacyjnej i mogą również identycznie finansować dług swojego emitenta. Znani finansjści twierdzą, że dotąd do kiedy zasady te nie ulegną zmianie, dolar może „spać” spokojnie nie martwiąc się o swój los. Rola dolara nie jest zagrożona przez działania zewnętrzne.

Wewnętrzne przyczyny

Trafne ostrzeżenia dla bezpieczeństwa USA przepowiedział jeden z pierwszych prezydentów tego kraju. Zauważył on, że Stany Zjednoczone pod względem geopolitycznym są najlepiej położonym krajem na świecie. Chronią go dwa oceany, których przebycie uniemożliwia jego podbój przez inne narody. Konsekwencją tego stanu według prezydenta ma być fakt, że jeżeli nastąpi upadek tego państwa, to będzie miał on przyczyny wewnętrzne, a nie zagraniczne. Sytuacja ta wydaje się również odpowiadać bezpieczeństwu waluty tego kraju. Jej wartość niszczy narastający w postępie geometrycznym dług, który powstaje niejako na własne życzenie. Jednym z powodów jego stałego wzrostu w ostatnich latach jest rządowa



ambicja utrzymania uzyskanego poziomu życia w sytuacji, kiedy chiński konkurent gospodarczy zarzuca USA swoimi tanimi towarami. Powoduje to upadek jego sił wytwórczych i potrzebę ich uzupełnienia poprzez emisję wspomnianego długu. Później sytuacja ta zdaje się być bez wyjścia, a procesy destrukcyjne mają tylko narastać. Tymczasem zarówno zagrożenia dla USA są wewnętrzne, jak i działania ratunkowe także mają ten sam charakter. Dotyczy to również systemu finansowego USA.

Nowa waluta

Władze stanu Teksas przynajmniej od dziesięciu lat czynią starania o utworzenie własnej waluty, która byłaby oderwana od stale narastającego długu oraz spadku wartości amerykańskiego dolara, emitowanego przez Rezerwę Federalną (FED). Polityka pieniężna tej instytucji od chwili powstania w 1913 r. doprowadziła do spadku siły nabywczej amerykańskiego dolara o ponad 95%. W rezultacie podjęto kilka prób ograniczenia lub wyeliminowania uprawnień Rezerwy Federalnej. Jak dotychczas wszystkie te starania nie dały pożądanego rezultatu. Dopiero ustawa stanu Teksas z 2 maja b. r. zmieniła tę sytuację. Komisja Texas House uchwaliła ustawę o utworzeniu walut transakcyjnych ze

100% rezerwą opartą na złocie i srebrze. Celem tego ustawodawstwa jest stworzenie możliwości prowadzenia interesów w solidnych pieniądzach. Pojawiające się na ten temat komentarze podkreślają, że ustawa ta przygotowuje grunt do podważenia monopolu Rezerwy Federalnej na pieniądź i prawdopodobnie stworzy realną alternatywę dla cyfrowej waluty banku centralnego. Praktycznie na terenie tego stanu będą w równoległym użyciu dwie waluty jako prawne środki płatnicze, czyli dolar emitowany przez FED i nowa waluta stanowa mająca pokrycie w złocie i srebrze.

Uzasadnienie prawne

Konstytucja Stanów Zjednoczonych w art. I, sekcja 10 stanowi: „Zaden stan nie może... czynić niczego poza złotą i srebrną monetą jako prawnego środka na spłatę długów”. Obecnie wszystkie długi i podatki są spłacane albo banknotami Rezerwy Federalnej (dolarami), które zostały zatwierdzone przez Kongres jako prawny środek płatniczy, albo monetami emitowanymi przez Departament Skarbu USA, jednak bardzo niewiele z nich zawiera złoto lub srebro. Według autorów tego projektu Rezerwa Federalna niszczy ten konstytucyjny system monetarny, tworząc monopol oparty na swojej walucie fiducjarniej. Co powoduje, że

bez wsparcia w złocie lub srebrze bank centralny może z łatwością tworzyć pieniądze z powietrza. To nie tylko dewaluuje siłę nabywczą pieniądza w czasie, ale pozwala również rządowi federalnemu pożyczać i wydawać znacznie więcej niż byłoby to możliwe w zdrowym systemie pieniężnym.

Złoto Teksasu

Po to, aby emitować walutę mającą pokrycie w złocie i srebrze, trzeba posiadać te kruszce w odpowiedniej ilości. Okazuje się, że Teksas jest właścicielem ok. 12 ton złota przechowywanych w Forcie Knox oraz w podziemnych skarbcach na Manhattanie. Wraz z kryzysem finansowym w 2008 r. szereg krajów dokonało repatriacji swojego złota. Kroki w tym kierunku podjął również stan Teksas, choć była to operacja ściśle wewnętrzna. Całe to złoto w ilości 5600 sztabek ma wrócić do wybudowanego już własnego skarbcza o nazwie Texas State Bullion Depository. Przechowywane w nim kruszce za pośrednictwem konta tego skarbcza, wspierałyby stanową walutę cyfrową. Skarbiec ten ma także przyjmować w depozyt złoto i srebro swoich obywateli. Opłaty z tego tytułu mają być przeznaczone na zakupy srebra i złota w celu zwiększenia emisji waluty opartej na tych metalach szlachetnych.

Łeb w łeb

Autorzy ustawy z 2 maja uważają, że jej kluczem jest ułatwienie używania złota w codziennych transakcjach. Są oni zdania, że powodem, dla którego złe pieniądze wypierają dobre, jest to, że rządy stawiają bariery dla używania zdrowych pieniędzy w codziennym życiu. To sprawia, że wydawanie złota jest bardziej kosztowne i zachęca do jego gromadzenia. Kiedy usuwa się bariery, wyrównuje się szanse i pozwala, aby złoto i srebro konkurowały łeb w łeb z banknotami Rezerwy Federalnej na równych warunkach, to złoto za każdym razem wygrywa z pieniądzem fiducjarnym.

Naśladowcy Teksasu

Działania zmierzające do niezależności finansowej od FED stają się coraz bardziej popularne w Stanach Zjednoczonych. Do tej pory Tennessee jest jedynym innym stanem, który uchwalił ustawę wzywającą do utworzenia depozytariusza podobnego do Teksasu, a była to tylko wspólna rezolucja wyrażająca poparcie dla tego pomysłu. Jednak inne stany – w tym Idaho, Arizona i Luizjana – przyjęły lub rozważają przepisy mające na celu zniesienie na szczeblu stanowym opodatkowania złotych i srebrnych monet oraz sztabek, a w niektórych przypadkach traktowanie ich jako innej formy prawnego środka płatniczego.

Pierwszy dzień bez godziny milicyjnej

Iglica nasza



MARIAN KRZEMIŃSKI

▪ Dzień 3 maja 1982 roku przypadał w poniedziałek i bynajmniej nie był to kolejny dzień wolny „długiego weekendu”. Pamiętam jak z uśmiechem szliśmy na zajęcia w gmachu głównym Politechniki Wrocławskiej wzdłuż ZOO spoglądając w kierunku Iglicy, gdzie jeszcze około godziny 12 stał wóz strażacki z wyciągniętą drabiną, a na szczycie Iglicy łopotała wielka flaga z napisem „Solidarność”. Niestety nie było już podobnej, choć o ile pamiętam, nieco mniejszej na maszcie Hali Ludowej. Z dumą, ale w milczeniu potakiwaliśmy różnym ludziom, kolegom czy wykładowcom spotkanym na Placu Grunwaldzkim i w gmachu Politechniki, gdy dopytywali, czy widzieliśmy flagę Solidarności na Iglicy. Niektórzy chwalili się, że robili zdjęcia, bo widać ją było z Placu Grunwaldzkiego.

Przez szereg lat niewielu wiedziało, kto ją tam zawiesił, aż po 33 latach Przewodniczący dolnośląskiej Solidarności, Kazimierz Kimso, rozpoczął poszukiwania osób, które tego dokonały. Miał zamiar doprowadzić do powtórzenia wyczynu w wykonaniu wrocławskich speleologów – Mateusza i Grzegorza. „Dzienne” zdobycie wrocławskiej Iglicy zainaugurowało 26 sierpnia 2015 roku obchody 35. rocznicy powstania Solidarności. Frekwencja dopisała. Dwa lata później kolejną 37. rocznicę powstania Solidarności otwarto „nocnym” wejściem, ponieważ to pierwsze w 1982 roku odbywało się właśnie w nocy z 2 na 3 maja, w pierwszy dzień bez godziny milicyjnej. Złagodzenie rygorów stanu wojennego zachęciło nas do działania.

Przewodniczący Kimso, który sam współpracował z Solidarnością Walczącą, nie wiedział, że sprawcą ozdobienia Iglicy flagą Solidarności byłem ja, od 1982 zaprzysiężony członek Solidarności Walczącej. Przypuszczam, że właśnie ten wyczyn ułatwił mi tak szybkie włączenie się w działalność założonej w czerwcu 1982 roku organizacji, którą wszyscy wówczas postrzegali jako miejsce aktywnego sprzeciwu wobec komuny. Zanim to nastąpiło, a więc zaledwie miesiąc wcześniej, do działania zainspirowała nas zapowiedź, że z początkiem maja będą wypuszczać z internowania naszych przyjaciół z NZS, m. in. Lecha i Sławka. Ten pierwszy był moim partnerem podczas wspinaczek w „Sokolikach” i studiował matematykę na WPPT (Wydziale Podstawowych Problemów Techniki). Ja byłem studentem tego samego wydziału na kierunku fizyka. Praktycznie wszyscy uczestnicy akcji wieszania flagi na Iglicy pochodzili z WPPT Politechniki Wrocławskiej, co powinno obalać mit, że „ściśłowcy” to kujony. Poza tym byliśmy w NZS, moja legitymacja z kwietnia 1981 roku ma numer 232. Kiedyś na pytanie dlaczego w opozycji jest tylu fizyków i matematyków, bodajże Zbigniew Romaszewski odpo-



wiedział, że PRL jest po prostu sprzeczny z logiką i prawami fizyki. Podobnie twierdził Kornel Morawiecki, spodziewając się prędzej czy później upadku komuny. Były również inne moty-

wacje, w tym sympatie – np. flagę szła Małgosia, która tęskniła za Lechem – a czasem po prostu zwykła przyjaźń.

A zatem chcieliśmy godnie przywitać na wolności naszych

przyjaciół, a przy okazji wyrazić sprzeciw wobec komuny. Z jej brzydotą i absurdalnością mieliśmy na co dzień do czynienia studiując matematykę, fizykę lub aktywowaną w 1982 roku biofi-

zykę, gdzie dominowały panie. Większość z nas zamieszkiwała w akademikach przy ul. Wittiga, a w stanie wojennym podczas godziny milicyjnej można powiedzieć, że byliśmy tam skoszarowani. Wieczorami, pomiędzy sesjami i bez piwa, którego w mieście wtedy najczęściej brakowało, zwykliśmy – jak się to wtedy mówiło – knuć.

Do działania motywowały nas też sukcesy naszych szybkich akcji polegających na oznaczaniu uczęszczanych miejsc symbolami Solidarności, SW czy PW. Pamiętam zwłaszcza jedną o ogromnej skali, kiedy na okoliczność przyjazdu Jaruzelskiego do Hali Ludowej, odnowiono do wysokości parteru wszystkie budynki na całej długości ul. Skłodowskiej Curie począwszy od Pl. Grunwaldzkiego, prawdopodobnie aby nie drażnić Generała. Jednak w nocy przed jego wizytą, wyposażeni w farby w spray'u, które były już wtedy dostępne, wymalowaliśmy na tych świeżo odnowionych elewacjach, wzdłuż całej trasy przejazdu generała, powszechnie znane symbole walki i sprzeciwu. A obstawa milicji była solidna. Ewakuowaliśmy się wtedy do akademików wałem wzdłuż Odry, upojeni naszym „sukcesem”.

Chyba po tym właśnie zaczęliśmy kombinować, co spektakularnego możemy jeszcze zrobić? Oprócz pilnej nauki fizyki i matematyki, najlepiej nam wtedy wychodziły wędrowki i wspinaczka po górach, chociaż moi przyjaciele z akademika intensywnie ćwiczyli modne wówczas karate. Gdy z Lechem trenowaliśmy wspinaczkę w Górach Sokolich zwykło się mawiać, że ten czy tamten „wyłoił” (zdobyl/przeszedł) jakąś skalną drogę lub górę. Pamiętam, że ktoś w akademiku rzucił: a może by tak wyłoić Iglicę albo Halę Ludową wieszając tam flagę „S”? Na dachu tej ostatniej był wysoki maszt. Zaczęliśmy oglądać te obiekty z daleka i z bliska, ale nigdy nie było nam dane „potrenować”. Marek zadeklarował, że wejdzie po piorunochronie na dach Hali Ludowej i wepnie na jej szczytowym maszcie flagę. ▶

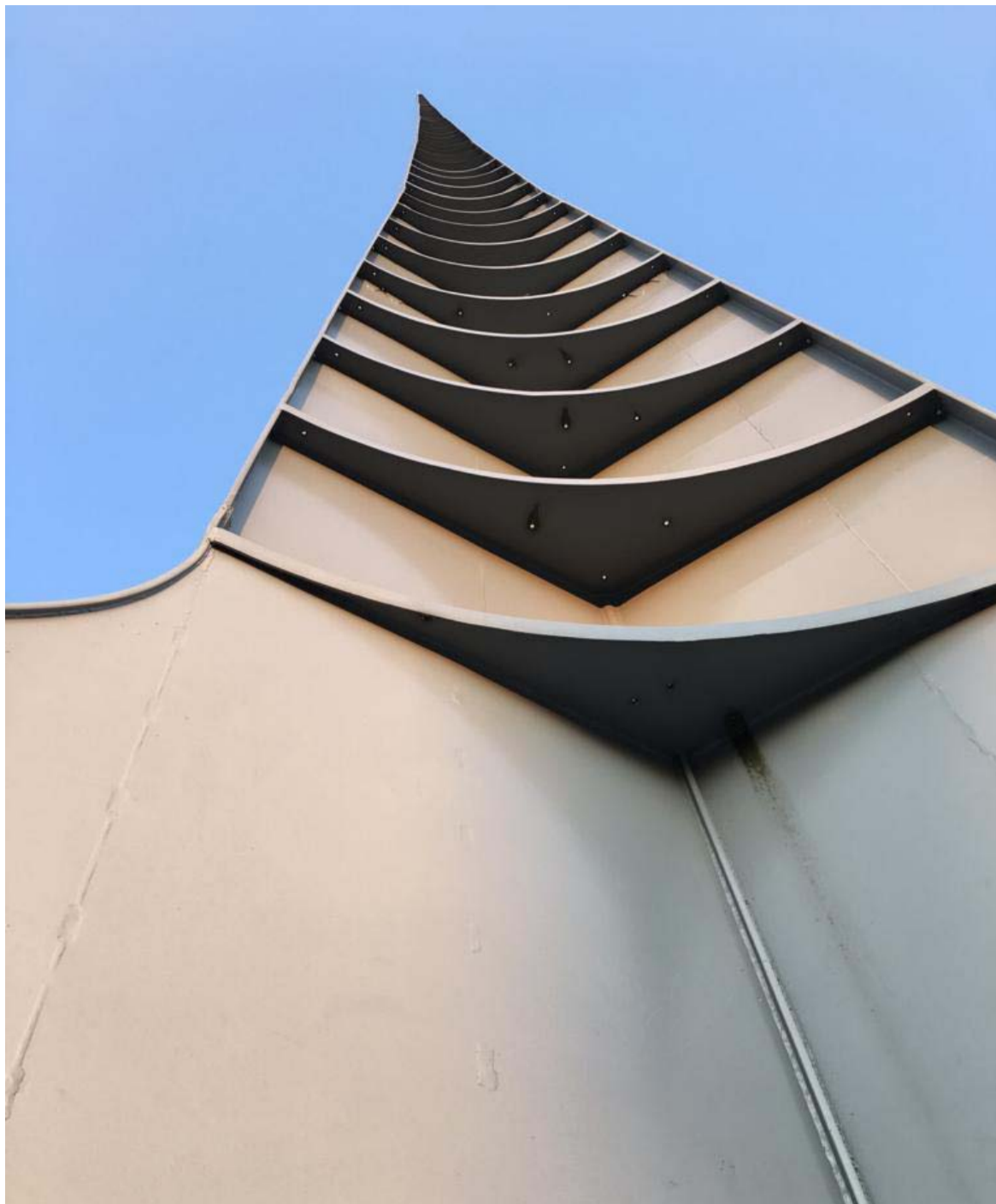
► Liczyliśmy, że od dołu szybko jej nie zauważą, ale z daleka powinna być dobrze widoczna. Mnie „do wyboru” została Iglica. Na piorunochron byłem za słaby, a na Iglicę Marek był za niski. Reszcie chłopaków, którzy nie mieli doświadczenia wspinaczkowego, przypadło zadanie obstawy. Paniom zaś uszycie flag oraz utworzenie „par” damsko-męskich do odstraszenia „cywili” spod Iglicy w godzinie rozpoczęcia akcji. Nie pamiętam, o której to się zaczęło. Na pewno było już ciemno, ale nie pusto pod Iglicą, co było warunkiem do rozpoczęcia wspinaczki. Podstawę Iglicy oświetlały pobliskie lampy. Wyższe partie były raczej niewidoczne. Pierwsza noc bez godziny milicyjnej sprzyjała spacerom zakochanych w ciepły, wiosenny wieczór. Zadaniem bodaj pięciu damsko-męskich par lub udających pijanych chłopaków, w tym zwłaszcza Czarka, było odstraszenie spacerujących ludzi lub wszczęcie awantury odciągającej uwagę od tego co się miało dziać na Iglicy. Do czasu wydania sygnału przez mojego przyjaciela, Janusza (również współpracującego i skazanego za działalność w SW,) ukrywałem się w tramwaju. Parę wagonów z rozsuwanymi drzwiami stało vis-a-vis Iglicy na boczniczy wzdłuż drogi.

Czekałem, ubrany na czarno, uzbrojony w plecak, w którym była flaga z przygotowanymi pętlami i karabinkami. Te ostatnie kosztowały wtedy fortunę, ale miało być szybko i bezpiecznie. Na sobie miałem splecioną z lin alpinistycznych uprzęż, pas pierśiowy i „majtki” z węzłem taternickim spięte razem karabinkiem, a do tego kawałek liny, tak aby owinąć się wokół Iglicy i oswobodzić ręce do wpięcia i zaciśnięcia flagi. Na stopach miałem powszechnie stosowane wówczas w spinaczce skałkowej czarne korko-trampki z obciętymi gumowymi „korkami/kolcami”.

W plecaku umieściłem też czerwoną i ciężką puszkę pełną towotu, którym miałem pokryć maszt na szczycie po rozwinięciu flagi, aby utrudnić jej zdjęcie przez inną osobę – drabiny strażackie nie miały takiego zasięgu. Z puszki wystawały druty podłączone do czegoś, czego nie pamiętam, ale przypominało to bombę, którą zaprojektował i „skonstruował” Ryszard – drugi mój współlokator z pokoju w akademiku. To był nasz wariant „B”.

Nikt z nas nie wiedział, jaki jest stopień trudności tego wejścia i co mnie czeka na górze. Nie mogliśmy tego potrenować. Ćwiczyłem więc wejścia okrakami na różnych słupach i latarniach, aczkolwiek nie znaleźliśmy nawet średnicy masztu na wierzchołku Iglicy. Z odległości około 70 m było to trudne do oszacowania, ale wydawało mi się, że to średnica zbliżona do lampy drogowej. Później się okazało, że się myliłem.

Wejście zaplanowałem na trzy fazy. Pierwsze około dwudziestu metrów to bieg po jednej z pod-



staw Iglicy, a następnie podciąganie się na poprzecznicach, identycznie jak zrobili to wspomniani speleolodzy w 35. rocznicę powstania „S”. Dalej wejście po wąskiej drabince, do podstawy masztu, a na maszcie okrakami. Wydawało się proste. Parędziesiąt podciągnąć jak na drążku i po drabince do najtrudniejszego etapu na rurowym maszcie.

Gdy Janusz otworzył drzwi wagonu tramwajowego, w którym czekałem na sygnał, wyskoczyłem i biegiem dotarłem do podstawy Iglicy. Wszystko zgodnie z planem. Ciemność powyżej lamp była moim sprzymierzeńcem. W trakcie wejścia po drabinie zauważyłem, że do Hali Ludowej podjechał Star z funkcjonariuszami ZOMO. Przez dłuższy czas zamartwiałem i obserwowałem co się będzie działo, aby nie wydać żadnych dźwięków. Rozpakowali się i weszli do środka głównym wejściem, po czym samochód odjechał. Moja obstawa dała mi umówiony znak, że wszystko OK i doszedłem do masztu szczytowego. Pojawił się jednak problem, którego nie przewidziałem. Iglica solidnie się kołysała. Myślę, że nie przesadzę jeśli powiem, że odchylenia sięgały metra. Nie wiadomo czy była to wina wiatru czy moich zbyt synchronicznych ruchów. Trudno było te wahania konstrukcji

opanować lub do nich się przyzwyczaić. Szczerze powiem, spanikowałem z dalszym wejściem okrakami po okrągłym maszcie, a na dodatek jego średnica była znacznie większa niż oczekiwałem. Wtedy się okazało jak przewidywany i kreatywny był Rysiu, który wymyślił wariant „B” z imitacją „bomby”.

Rozwinąłem flagę, która była zwinięta prawie jak spadochron i gładko wychodziła z plecaka. Tym bardziej, że przypinałem ją do szczebli drabinki poniżej masztu szczytowego karabinkami i nie musiałem zaciskać pętli na okrągłym maszcie, jak pierwotnie planowaliśmy. Był duży wiatr więc sporych rozmiarów flaga zaczęła łopotać. Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że miała ponad 10 metrów długości. Była białoczerwona z wszytym, przeciwstawnymi kolorami, napisem Solidarność.

Następnie najważniejsze, czyli wdrożenie planu „B”. Polegało on na „uzbrojeniu” atrapy bomby. Do dolnej pętli flagi przymocowany był jakiś black box. Wychodzące zeń kable należało włożyć do puszek i przykryć pokrywą. Puszka była ciężka i czerwona. Zawierała ze dwa litry brązowego smaru łożyskowego, popularnie zwanego towotem. Została przytroczona pętlami między szczeble drabinki prowadzącej do masztu szczytowego Iglicy,

co sprawiało, że osoba podchodząca do flagi musiała te prymitywne urządzenia skojarzyć tylko z jednym – z bombą. Oczywiście gdyby, jak pierwotnie planowaliśmy, udało się wysmarować towotem maszt poniżej flagi zawieszoną znacznie wyżej, to jedynym sposobem jej zdjęcia byłoby chyba położenie Iglicy, tak jak zwykle się to robiło w trakcie jej konserwacji. Wisiałaby zatem znacznie dłużej, ale z wymienionych wcześniej powodów nie odważyłem się wejść wyżej i dzisiaj tego nie żałuję, bo mogło się skończyć źle.

Dosyć sprawnie i szybko udało się zejść w dół, po czym zwinęliśmy całą obstawę i szybkim krokiem udaliśmy się do akademika. Każdy osobno, aby w razie wypadku nie kojarzono nas. Nie jestem pewien, ale chyba nie było euforii lecz raczej lęk o to, czy ktoś nas nie widział, czy jacyś świadkowie nas nie rozpoznają, czy nie znajdą gdzieś odcisków palców. Różne myśli i obawy kołatały się po głowie. Słabo pamiętam resztę tej nocy, może mieliśmy piwo, aby odreagować i spaliśmy do późna. Dopiero około południa poszliśmy na zajęcia wzdłuż ZOO i wtedy dotarło do nas, jak wywołaliśmy zamieszanie. Oddźwięk w mieście był ogromny. Przypuszczam, że głównym powodem tak długiej ekspozycji flagi na Iglicy mogła być odmowa

strażaków jej zdjęcia przed oceną saperską, któremu z kolei nie odpowiadało wchodzenie po drabinie na taką wysokość. Musieli pewnie poszukać kogoś bez lęku wysokości. Niezależnie od przyczyn był to ogromny sukces. Pamiętam jednak, że oprócz dumy z udanej akcji, trzymał nas długo strach przed ujawnieniem, kto za tym stał, więc wszyscy konsekwentnie milczeliśmy. Z upływem czasu nikt o to nie pytał, aż do wspomnianych obchodów 35. rocznicy NSZZ „Solidarność” w sierpniu 2015 roku.

Dla mnie wspomniana akcja była „furtką” do wejścia w strukturę podziemia, które potrzebowało tego typu działań. Jacek, starszy kolega z matematyki, po tej akcji zaproponował mi, że jeśli chcę to przedstawić mnie ludziom z podziemia. Tak poznałem Hanię pracującą wówczas w bibliotece wydziału matematyki w budynku I9, a za chwilę, bo już w czerwcu poznałem Kornela i kolejnych fizyków, czyli Braci „Oz”. Właśnie tworzyła się Solidarność Walcząca, a w trakcie któregoś z kolejnych spotkań w obecności Kornela, zostałem jej członkiem, składając przysięgę w kręgu osób trzymających się za ręce. Bardzo szybko okazało się jednak, że byłem jeszcze zbyt młody, aby prowadzić z liderami czy sztabowcami SW historyczne czy ideowe dyskusje. Z fizyki czy matematyki, jako wykładowcy też byli dużo lepsi ode mnie. Zdecydowanie wolałem „akcję”, więc razem z Ryszardem z akademika wykonywaliśmy pierwsze próby emisji Radia SW. Nadajniki otrzymywaliśmy od Jana pracującego obok Hani również w Instytucie I9. Później przyszedł czas na kolportaż, przerzut bibuły i papieru w naszych przepastnych studenckich plecakach, składanie prasy, w tym Biuletynu Dolnośląskiego, którego nakład trzymaliśmy w tapczanach domów studenckich na Wittiga. Cała nasza spora „paczka” pozostawała lojalna i aktywna w konspiracyjnej działalności w strukturach Zosi, Wojtka i Piotra. O Iglicy rzadko wspominaliśmy, ale już nie ze strachu, tylko ze względu na to, że chociaż ważny, to był to tylko epizod. Dopiero po latach okazało się że ten symbol wciąż ma znaczenie, że ludzie pamiętają i pragną poznać więcej szczegółów. A nasz wyczyn może stać się inspiracją dla „odmłodzenia” obchodów bardzo już wiekowej „Solidarności”.

Proszę jednak o wybaczenie, że moje wspomnienia nie są tak precyzyjne, jak powinny być, bo piszę je na prośbę Redakcji, która chciała to wydarzenie upamiętnić jeszcze w maju. Pewnie kiedyś uzupełnię tę relację, gdy przypomnę sobie, jeśli nie wszystkich, to większość jego uczestników. Mam nadzieję, że czytając ten tekst sami mi o tym przypomną.

I jeszcze jedno na zakończenie, mam radę i ostrzeżenie, nie naśladowajcie tych wyczynów :)

Nasza mała partyzantka

■ Czas ucieka, pamięć staje się zawodna, wspomnienia się zacierają. Uznaliśmy, że warto spisać krótką historię działań niepodległościowych niewielkiej grupy z południa Lubelszczyzny.

W 1983 r. trwał stan wojenny. Juncie nie udało się złamać społecznego oporu, jednak niektórzy działacze wybrali emigrację. Część opozycji liczyła na „opamiętanie się” komunistów i jakies ułożenie się z nimi. Inni odczuwali potrzebę zrobienia czegoś więcej niż tylko działanie w strukturach podziemnych „S”. Sam kolportaż pism nie zaspokajał tej potrzeby działania. Oprócz „Solidarności” działały inne organizacje: Solidarność Walcząca, Konfederacja Polski Niepodległej, a po roku 1984 jeszcze Liberalno-Demokratyczna Partia Niepodległość. Te organizacje odrzucały legalność nie tylko junty, lecz całej peerelowskiej władzy. Wiosną 1983 r. na terenie Lubelszczyzny kilku działaczy niepodległościowych postanowiło zrobić coś w tym duchu.

Organizacja nie miała nazwy, struktury ani kierownictwa. Dziś może się to wydawać dziwne, ale potrafiliśmy ustalać wszystko bez zbędnej dyskusji, kłótni, głosowań, czy narzucania innym swojego stanowiska. Po prostu rozumieliśmy się. Ktoś z nas podsuwał dobry pomysł i staraliśmy się go zrealizować. Nazwa nie była potrzebna, a odkąd zaczęliśmy organizować obozy, stosowaliśmy bardzo starannie zasady konspiracji. Nazwa mogła być punktem zaczepienia dla SB. Ważny był efekt działania, a nie szyld. W razie czyjejś wpadki nie obawialiśmy się, że esbecy będą rozpracowywać organizację, której nie ma. Nie wydawaliśmy także własnego pisma – ograniczaliśmy się do kolportowania pism i książek wydawanych przez „Solidarność” oraz organizacje niepodległościowe, m. in. SW, KPN, LDPN. Kolportaż prowadziliśmy od samego początku lat osiemdziesiątych, równoległe do obozów szkoleniowych. Rozwinięta siatka pozwalała zaopatrywać w podziemne wydawnictwa okolice Janowa Lubelskiego, Kraśnika, Stalowej Woli. Kontakty kolporterki ułatwiały też inne; powstała sieć ludzi o podobnych poglądach i o wzajemnym do siebie zaufaniu. Sam kolportaż nam jednak nie wystarczał; chcieliśmy czegoś więcej.

Cały sens istnienia naszej organizacji był w działaniu. Nie traciliśmy energii na jałowe dyskusje. U podstaw leżała świadomość, że tylko pełne odzyskanie niepodległości może być celem (nawet „Okragły stół” przyjęliśmy z rozczarowaniem). Rozstrzygnięcia połowiczne uważaliśmy



za zmarnowany wysiłek. Uznaliśmy, że dopiero w państwie całkowicie suwerennym można ustalać rozwiązania odpowiadające społeczeństwu. Jeżeli ktoś z nas miał jakieś złudzenia w latach 1980-1981, to po 13 grudnia całkowicie ich się wyzbył. Wprowadzenie stanu wojennego i pogwałcenie wszystkich społecznych umów było dowodem, że z komunistami nie warto rozmawiać. Udowodnili, że są funkcjonariuszami ZSRR.

Odrzucaliśmy postawę: „my mamy rację, ale oni mają siłę”. Zamiast niej wyznawaliśmy zasadę: „trzeba być silnym i stać się silnym, aby móc swoją rację obronić”. I w tym różniliśmy się od podziemnej „Solidarności”, która liczyła na opamiętanie się komunistów i powrót do sytuacji sprzed 13 grudnia. My nie mieliśmy złudzeń. Natomiast rozpad komunistycznego imperium nie był dla nas ani czymś ab-

trakcyjnym, ani odległym. Wierzyliśmy, że prędzej czy później nastąpi i tej okazji nie wolno będzie zmarnować. Za legalną władzę konstytucyjną uznawaliśmy Rząd Rzeczypospolitej na Uchodźstwie. Junta Jaruzelskiego udowodniła ostatecznie, że nie można traktować jej nawet jako namiastki polskiej władzy. Dziś łatwo to wszystko pisać, bo historia przyznała takim oczekiwaniom rację, ale w latach osiemdziesiątych nie dla wszystkich było to oczywiste.

Nastroje społeczne po wprowadzeniu stanu wojennego zmieniły się od powszechnego gniewu (okres 1981-1983) do marazmu. Obserwowaliśmy sytuację w ruchu podziemnym, którą odzwierciedlały konspiracyjne pisma. Nie podobało się nam, że ewoluowała nie w kierunku państwa podziemnego z konspiracyjnym rządem, lecz w stronę jakiejś utopijnej wizji „społczeń-

stwa podziemnego”. Sam termin był nijaki i nic z niego nie wynikało. Idea państwa podziemnego byłaby nam bliższa. Koncepcję „społczeństwa podziemnego” uważaliśmy za bzdurę, za niepotrzebne marnowanie wysiłku i zbędne ryzyko bez szans uzyskania satysfakcjonującego wyniku. Cóż mogło wynikać z samego trwania w biernym oporze? Ta koncepcja nie dążyła do Polski niepodległej, a inne rozwiązania, kolejne „odnowy”, „odwilże” i „reformy” odrzucaliśmy. W sytuacji po 1982 r. kiedy zorganizowany opór społeczny słabł coraz bardziej, przyjeśliśmy, że możemy liczyć tylko na siebie. I choć byliśmy niewielką grupką zapaleńców, uznaliśmy, że warto. Nie potrafiliśmy już odnaleźć się w klatce PRL. Wiedzieliśmy też, że być może nie uda się odzyskać niepodległości samymi metodami *non violence*. Tym też różniliśmy się od „Solidarności”. I tak powstała koncepcja obozów szkoleniowych.

Wychowanie młodzieży w duchu patriotycznym oraz nauczanie praktycznych umiejętności, które mogą się kiedyś przydać, uznaliśmy za wartę trud i ryzyka i wokół tego skupiły się nasze główne działania po 1983 roku. Oczywiście byliśmy także otwarci na współpracę i otrzymywaliśmy różną pomoc od ludzi, którzy chcieli zrobić coś przeciw komunie. Zawsze były to jednak konkrety. Kiedy jakiś problem wymagał rozwiązania, zwracaliśmy

się z prośbą do jakiejś osoby i albo pomoc otrzymywaliśmy, albo szukaliśmy dojścia do kogoś innego. Przy tym zawsze przestrzegaliśmy zasady: „mówić tylko tyle, ile trzeba”. Konkretna sprawa, konkretna rozmowa. Nie marnowaliśmy czasu na dyskusje przy herbatce. Ideowo bliskie nam były ugrupowania niepodległościowe: KPN, SW i LDPN. Z działaczami KPN i LDPN udało nam się nawiązać kontakt, z Solidarnością Walcząca niestety tylko kolporterki. Próbowaliśmy wprowadzić dotrzeć do Kornela Morawieckiego, lecz nie zdążyliśmy. Kornel był dla nas autorytetem. Napisaaliśmy list, z którym jeden z nas miał jechać do Wrocławia. Niestety Morawiecki został aresztowany. (List wręczyliśmy dopiero w 2008 roku, podczas spotkania Kornela Morawieckiego z KZ NSZZ „Solidarność” UMCS.) Wszystkie kontakty zawsze odbywały się z zachowaniem zasad ostrożności. Lubelscy działacze niepodległościowi wiedzieli znali nas. Czasem sobie pomagaliśmy. Wiedzieli też o nas Zygmunt Łupina, z Tymczasowego Zarządu Regionu „Solidarności” i często nas wspierał.

Inicjatorem obozów był Andrzej Berezowski, instruktor i propagator sztuki walk wschodnich. Od wczesnej młodości uprawiał judo, karate, ju-jitsu i doskonalił się dalej. Andrzej posiadał również talent organizacyjny, a także dydaktyczny. Potrafił spośród rozmaitych technik stosowanych w walce sportowej, a także zakazanych w sporcie, wybrać najskuteczniejsze i przedstawić je w sposób prosty. Oprócz walki wręcz oraz walki przy użyciu podręcznych narzędzi, młodzież na naszych obozach poznawała podstawowe zasady konspiracji. Była także zapoznawana na bieżąco z sytuacją polityczną. Uczyla się prostych technik poligraficznych (sitodruku). Chodziło nam o przekazanie różnych umiejętności, aby w stosownej chwili ludzie ci mogli działać. Co będą robić, to już pozostawialiśmy ich decyzji. Staraliśmy się przekazać jak najwięcej, nie żądając nic w zamian poza dochoowaniem tajemnicy. Nie uważaliśmy za słuszne, by komuś coś nakazywać lub czegoś zabraniać. Młodzież trafiała na nasz obóz, który trwał około tygodnia i wracała do domu bogatsza o nowe umiejętności.

Pierwsze dwa obozy (lata 1983-1984) zorganizowa-





► liśmy w Majdanie Sopocim, w pobliżu zalewu, na terenie plebanii. Drugi, dość liczny, wspólnie z działaczami ze Stalowej Woli. Niestety, po tym drugim, zbyt widocznym obozie (przy ognisku piosenki patriotyczne i „Zieloną wronę” słychać było daleko), proboszcza ks. Jana Maksima nękała SB. Rozpytywali o organizatorów, a na koniec „nieznani sprawcy” spalili księdza stodołę. Po tych doświadczeniach zmieniliśmy zasady. Obozy stały się mniej liczne i tajne.

Uczestnicy nie znali naszych nazwisk, a myśmy nie znali ich nazwisk. Wystarczyło, że ktoś godny zaufania polecił ich nam. Tak przyjęty system był może mało efektywny, obozy elitarne, ale dzięki temu minimalizowaliśmy możliwość wpadki. Nie istniały żadne ślady działalności, dokumenty, żadne zapisane adresy ani telefony, dobra pamięć zastępowała wszystko. Z czasem zaniechaliśmy nawet robienia zdjęć. Jedynym materiałem obciążającym mogły być czyjeś zeznania. Dziś taka ostrożność może się wydać przesadzona, ale szykowaliśmy się na trudne czasy. Nikt na szczęście nie wpadł, a osoby zatrzymane przypadkowo za inne „antysocjalistyczne grzechy” potrafiły zachować milczenie. I mimo represji, jakie spotkały organizatorów „Wakacji z Bogiem”, esbecy nie trafili do nas.

Werbunek był trudny. Szukaliśmy młodych ludzi o odpowiednich predyspozycjach. Decydowały osobiste znajomości lub rekomendacja zaufanej osoby. W Lublinie bardzo pomagała w tym Jadwiga Kiszczak, która miała kontakt ze sprawdzoną młodzieżą. Jadwiga Kiszczak знаła także żołnierzy AK – Janusza Kozłowskiego, Leonarda Witkowskiego i Kazimierza Leskiego.

Miejsce obozu nie było ujawniane, podawaliśmy tylko datę i miejsce pierwszej zbiórki. Przykładowo kilkusobowa grupka młodzieży docierała autobusem do jakiejś miejscowości, potem szli pieszo kilka kilometrów, po drodze spotkali kogoś z organizatorów, który miał jakiś umówiony znak. Jego pytano o drogę do umówionej miejscowości. Właściwa odpowiedź była: „idę w tą samą stronę, to wam pokażę”. Kandydaci docierali z przewod-

nikiem na miejsce (jakaś polanka w lesie), tam rozbijali namioty, coś jedli, zagospodarowywali się. A wieczorem, już po ciemku, następowała przeprowadzka w inne miejsce oddalone o kilka kilometrów. Przez pierwszych kilka dni uczestnicy nie wiedzieli nawet, gdzie są.

Plan dnia był ściśle wypełniony z małymi przerwami na własnoręcznie przygotowywane posiłki. Wczesna pobudka, poranna zaprawa, a po niej dwutrzogodzinny trening walki wręcz. Później, po kąpeli w strumieniu, było śniadanie, po nim godzinne zajęcia teoretyczne (np. pogadanka historyczna) i znowu ćwiczenia z samoobrony. Ćwiczyliśmy m. in. wyswobodzenie się z chwytów transportowych, obronę przed pałąk i odebranie jej. Te



zajęcia zwykle prowadził Andrzej Berezowski, później także Jurek Bącal i Zbigniew Struk, a zajęcia z karate Bogdan Ross. Trenowaliśmy też szermierkę i strzelectwo pod okiem Krzysztofa Wilczyńskiego i Bogdana Krzemienia. Na obozach korzystaliśmy z broni pneumatycznej, ale udało się nam także zorganizować szkolenie z broni palnej.

Odwiedzali nas żołnierze Armii Krajowej: Janusz Kozłowski (z Kedywu), Leonard Witkowski i Janusz Kamocki. Młodzież mogła nauczyć się nie tylko samoobrony, lecz także zachowań w czasie rewizji i przesłuchań (tu pomagał niezawodny Janusz Mazurek), jak rozmawiać przez telefon, jak dać sobie radę w terenie, jak się ukrywać, jak zdobyć żywność. Dziś to się nazywa kurs S. E. R. E., skrót od: Survival, Evasion, Resistance, Escape – przetrwa-

nie, unikanie, opór, ucieczka. Te elementy szkoły przeżycia coraz bardziej doskonaliliśmy na trzydniowych rajdach. Można było nauczyć się też sitodruku, pokazywał to Zygmunt Leszek Szukiewicz.

Posiłki przygotowywali dyżurni, w leśnych warunkach była to dodatkowa nauka. Gotowaliśmy na ognisku, żywność pochodziła z darów. Otrzymywaliśmy pomoc od rolników: ziemniaki, warzywa, przygotowane kawały wieprzowiny, a nawet żywe barany. Było to możliwe dzięki dobrze rozwiniętej siatce znajomości w terenie. Korzystaliśmy także z darów zagranicznych: puszki, „pancerne szprotki”, mleko w proszku, słynny „ser Reagana”, mąka, soja. Dary otrzymywaliśmy dzięki kontaktom z Zygmuntem Łupiną



nych, nawet w gorącym okresie 1988-1989.

W sumie zorganizowaliśmy takich obozów dziesięć. Pierwsze dwa na Roztoczu (Majdan Sopocki), następne w Lasach Janowskich (okolice Zaklikowa, także w Szklarni i Osówku), jeden w Bieszczadach nad Osławicą i dwa na Mazurach pod żaglami, w tym jeden z wykorzystaniem sprzętu Yacht Clubu UMCS. Pomiędzy wakacjami organizowaliśmy trzydniowe rajdy leśne, mniej więcej raz w miesiącu, oraz zimowiska. Rajdy leśne pozwalały na doskonalenie technik survivalu. Nie zabieraliśmy namiotów, nocowaliśmy pod gołym niebem w miejscach dobrze ukrytych. Karimat wtedy nie było, warunki nocowania więc były trudniejsze niż dzisiaj. Rajdy uczyły orientacji w terenie, posługiwania się kompasem i mapą, pokonywania przeszkód terenowych, a także szeroko pojętego obycia z lasem. Zwykle łączyliśmy je z jakąś grą



czytania konspiracyjne oraz z Powstania Warszawskiego, a Leszek Szukiewicz opowiadał o początkach oporu przeciw sowieckiej tyzacji.

W nocy były warty, jak to na obozach, przy czym wartownicy musieli zachowywać się cicho i być niewidoczni. Z dyscypliną nie było problemu. Uczestnicy nie wiedzieli, po co przyjechali, panowała dobra, bardzo koleżeńska atmosfera, bez jakichkolwiek rygorów, ale i bez rozkładającego luzu. Nikt samowolnie nie oddalał się, każdy robił to, co do niego należało. Nie sprawdziły się także wysuwane przez sceptyków obawy, że młodzież może wykorzystać nabyte umiejętności w złym celu. Nikt z uczestników naszych obozów nie brał udziału w bójkach ulicz-

terenową. Były różne pomysły, np. pozorowana ucieczka przed obławą i kluczenie po lesie. Albo taktyka: jedna grupa zajmowała stanowiska na leśnym wzgórzu i miała je obronić, druga atakowała. Atak był późną nocą, więc obrońcy musieli czekać w ukryciu przez wiele godzin. Wymagało to wielkiej cierpliwości, młodzież przeżywała te zajęcia z ogromnym zaangażowaniem.

W obozach uczestniczyły też nasze kilkuletnie dzieci, które doskonale adoptowały się do leśnych warunków. Dzieci potrafiły zachować tajemnicę, a ich obecność nadawała obozom familijną oprawę. Z czasem uczestniczyły w zajęciach razem ze starszą młodzieżą.

Po 1990 roku obozy zmieniły formę i stały się jawne. Reak-

tywowanie „Strzelca” stworzyło nowe możliwości i nasza organizacja włączyła się w nie. Nadal więc były obozy i rajdy dużo liczniejsze i na innych zasadach, ale to już całkiem inna historia. Zmienił się też cel obozów. Potrzeba szkolenia młodzieży w duchu patriotycznym i obronnym istnieje oczywiście dalej i dziś na szczęście prowadzona jest legalnie i bez ograniczeń. Nasza organizacja rozwiązała się – spełniła swoje zadanie. Ostatni obóz wakacyjny zorganizowaliśmy wspólnie z młodzieżą ukraińską w roku 1992.

Przez lata osiemdziesiąte współpracowało z nami wiele osób. Znaczna część z nich aktywna od 1980 roku, po 13 grudnia włączyła się w działania niejawne oraz różne formy wsparcia. Trudno dziś odtworzyć nazwiska, tym bardziej, że wtedy w większości nie znaleźliśmy ich. W Lublinie od początku działali: Andrzej Trembacowski, Jadwiga Kiszczak i Zygmunt Leszek Szukiewicz. Później dołączyli: Roman Gumienniak, Kamil Selwa, Marek Miszczak, Marcin Pawlak i Paweł Bobołowicz. Współpracował z nami Mariusz Orion Jędrysek (kolportaż, kontakty z SW we Wrocławiu). Bezценne były kontakty z Janową Lubelskiego i okolic: Krzysztof Wilczyński, Bogdan Krzemień, bracia Ross (Bogdan i Jerzy), Józef Ponczek, siostry Łukasik (Urszula i Gabriela), Tomasz Jonak, Józef Wieleba i Józef Łukasiewicz, a także ze Stalowej Woli: Kazimierz Rostek, Ewa Kuberna i Aleksander Piekarus. Wiedziało o nas Zygmunt Łupina i zawsze mogliśmy liczyć na jego wsparcie i pomoc. Pomagał nam także Janusz Mazurek. Utrzymywaliśmy kontakt z żołnierzami AK: Januszem Kozłowskim, Leonardem Witkowskim, Kazimierzem Leskim i Januszem Kamockim. Większość uczestników organizacji pochodziła z okolic Janowa Lubelskiego, Kraśnika i Stalowej Woli. Andrzej Berezowski i Jadwiga Kiszczak zostali odznaczeni 11 listopada 1990 Złotym Krzyżem Zasługi przez Prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego.



MICHAŁ KACZMAREK



Stanisław Srokowski

MŁODE TALENTY

Michał Kaczmarek kilka lat temu był jednym z laureatów naszego konkursu. Ostatnio nadesłał nam nowe wiersze. Od czasu konkursu sporo się u niego zmieniło. Przypomnijmy kilka faktów. Z wykształcenia jest nauczycielem języka angielskiego. Publikował swoje utwory na łamach czasopism papierowych i w Internecie: „Migotania”, „Gazeta Kulturalna”, „Akant”, „Tlen Literacki”, czy witryna społeczno-kulturalna „Wobec”. W liście do reakcji napisał: „Mam żonę i dwójkę dzieci. Problemy jakie nas spotykają to najczęściej problemy zdrowotne. Ale to nie omija nikogo. Mamy kredyt na dom, ale na razie spłacamy go bez problemu. Oby tak pozostało”. Czyli nie jest źle. Wydaje się, że inspirację dla wierszy czerpie z własnego doświadczenia życiowego, a także z obserwacji dookolnego świata. Jego wyobraźnia nakierowana jest na wątki społeczne i egzystencjalne. (St. S.)

Na gruzach

w czasie podziału na dobro zło
nie możemy rozstrzygnąć
jak zaprzeczyć temu co nas łączy

dzieci biegają boso
po pachnącym ogrodzie

wbrew kłamstwom
na temat wyższej sprawiedliwości
ziemia przyjmuje ziarno
nie słyszą krzyków
drzewa rzucają cień

nawet rozmowy przy stole czułe
radość po powrocie mężczyzn
którzy przed zbiorowym grzebaniem ciał
zrywali łańcuszki ściągali pierścionki
daje dowody na cechy wspólne

nie pomaga potępienie
ze strony przywódców
wyraży wsparcia
transporty żywności

co znaczą jednakowe sny
jaki osąd wydaje
motyl który siada na ramieniu
mordercy starców prześladowcy jeńców
boimy się odpowiedzi
jak ciszy
która opływa opuszczone miasto

Zimowy spacer

mało śniegu
sanki szły po oblodzonej ulicy
trawnik wypalony mrozem

w drewnianym domku
zabawki ubrudzone piaskiem i błotem
próba ich ożywienia
potrząsanie zmarłym

szarówka
chłód kłuje w twarz
szybki powrót do domu
który zostawiłaś

z sali w której leżysz
nie wrócisz tylko ty
ze oknem gaśnie neon
sklep z narzędziami

Ojciec

twoja śmierć
konieczna
namacalna jak wazon
miała owalny kształt
miała funkcje użytkowe

można wstawić kwiaty
wlać wodę
konieczna to znaczy nieodwracalna
wiadomość *tata nie żyje*
nie wyraża zgody na powrót
nie cofa się składnia
przed wykonaniem zadania
wyznaczonego
przez głos drżący w słuchawce
wazon jest przy nas
widzimy go gdy wracamy z pracy
próbujemy nawiązać rozmowę
odpowiada chłodem
jego istnienie
równa się twojemu odejściu
nie rozumiemy



nie wierzymy
zaistniało nieistnienie
zdanie niemądre
składa się z części
które do siebie nie pasują
mogłyby
wypychać siebie nawzajem
poza granicę
za którą nic nie widzimy
lecz
nie walczą o prawo
nie sprzeciwiają się
pozostają w zgodzie
jakby odmierzone
by ważyć tyle samo

Narodziny córki

placz trzymiesięcznej dziewczynki
minąłeś się z nim w drzwiach
wasze okrężne ruchy
zamiana miejscami
sprawiły że jesteś ze mną

nie masz układu kostnego
tkanek włókien kolorów
nie ma cię we wspomnieniach

jesteś zamknięty w byciu
stołu ogrodu kubka do kawy

kubek do kawy jest
moce sprawcze zdania
także wobec ciebie

nie być nie można
wygasa upada wysycha
czasownik oddala się od znaczenia
które mu narzucamy
odpowiada na pytania
o znaczeniu odwrotnym

zanika
to znaczy co robi
umiera
czyli jest w trakcie życia

nawet nie istnieje
równa się w swojej wadze
z nie odchodzi czyli zostaje

zawiera zgodę z byciem
aby mogło nie być
to co zanika z oczu
spisu mieszkańców
opłat za wywóz śmieci

przyjeżdża raz w miesiącu
zakład oczyszczania miasta

na kostce ślad
ciągniętych koszy

Drzwi wejściowe

dziewczynka która przyszła na świat
obok lekarzy opowiadających kawały
doznaje chłodu sali
wagi na której leży
narzędzi którymi ją badają
braku uczuć ze strony dłoni
wyuczonych w rutynie
piętnaście minut w rękach matki
piętnaście minut w rękach ojca
boi się
chciałby ją oddać
Ojciec nasz



Zdrowaś Maryjo
 Wieczny odpoczynek
 bez znaczenia
 byle pielęgniarki widziały
 że porusza ustami
 matka patrzy z łóżka
 na drgające wargi
 ślina w kącikach
 jak w czasie niepokoju

wycinek nie bierze pod uwagę
przed ani *po*
 nawet *teraz* nie w pełni opisane
 ale sekunda jest prawdziwa
 suchy wianek
 zawieszony na drzwiach wejściowych

Wiersz osoby dojrzałej

deszcz zamienił się w mżawkę
 uśpił czujność
 korzystne wydarzenia
 doprowadziły do samotności
 dziecko które zasnęło
 łupieżcze najazdy domowników
 na centra handlowe
 dały odpoczynek
 jestem sam
 w ciszy przed burzą
 właściwą dla osób dojrzałych
 kataklizm rozwija się
 zapowietrzonym piecem
 który odmówi posłuszeństwa
 nieświadomym ojcem
 który dowie się o nieuleczalnej chorobie
 lub
 odwrotnie
 ojciec przestanie wykonywać obowiązki
 piec zachoruje na astmę
 wykrztusi plastikowy dym
 którym trujemy z oszczędności
 krople deszczu są coraz większe
 i z coraz większą energią

uderzają o ziemię
 napięcie wzrasta proporcjonalnie
 do zmniejszania dystansu
 między mną a pojazdem
 w którym zapakowane w torby zdobycze
 krzyczą o ułożenie na regały
 podbijają spiżarnię
 wymaganiem
 natychmiastowej realizacji oczekiwań
 ściany patrzą podejrzliwe
 wyrażają pretensje
 ukryte głęboko w ciałach
 okaleczonych od urodzenia
 w rękach murarzy
 szczotki
 zabiegów szlifowania
 zostawiają ślad

Wiersz który nie powstał

śmierć która przyszła po śmierci ojca
 nie skłoniła do wiersza
 przeszkadzała trochę
 mniej serdeczne święta
 trudniejsza opieka nad dziećmi
 kiedy trzeba załatwiać sprawy

pogrzeb zgromadził
 najbardziej zainteresowanych
 pozostali w domach
 dzwonili do pracy
 wyczekiwali końca

powodowała rozpacz jak każda
 i
 jak każda miała zimny oddech
 który ociepiał się w miarę
 pokonywania dystansu
 do najbardziej oddalonych
 chociaż żyjących blisko
 na równi z tymi
 którzy płacą za poczęstunek
 rozdzielają ciasto

stała naprzeciwko
 bez możliwości wyrządzenia krzywdy
 jak pies na drodze
 którego ocieram zderzakiem
 bez szkody dla niego
 i dla mnie

Słyszac śmiech

śmierć przyszła kiedy spaliśmy
 ale nie snem dziecka
 położonego do łóżka
 gdy przykrywamy ciało kołdrą
 była powszednia śmierć
 rysowana na słupkach
 którym nie ufaliśmy
 dlaczego mieliśmy ufać
 elektronicznym przekazom
 kiedy budził się ogród
 miała postać kobiety
 w szarym płaszczu
 baliśmy się
 braku ponaglenia z jej strony
 gdy prowadzono chorych do transportu
 weszła do ambulansu za ratownikami
 jak do kwaciarni albo cukierni
 by usiąść przy stoliku z bezą
 odjechali wspólnie
 zostawiając nas
 z książkami w dłoniach
 z garnkami na palnikach
 z niemowlakami przy policzkach
 czy wrócą
 nie wiemy
 kroimy jabłka
 namaczamy bieliznę
 rozmowy toczymy po cichu
 i niezbyt często
 w częściach domu

do których nie zaglądamy
 jest coś czego się boimy

Opozycja we Wrocławiu w latach 1981-1989 Ogólnopolska Konferencja

16-17 czerwca 2023 r.

Centrum Historii Zajezdnia – Wrocław ul. Grabiszyńska 184

PROGRAM

Piątek 16 czerwca 2023

- 10. 00 – rozpoczęcie spotkania
- 10. 45 – wystąpienie Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
- 11. 00 – wykład dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej Oddział we Wrocławiu
- 11. 30 – wykład prof. Włodzimierza Sulei
- 12. 00 – wykład Artura Adamskiego
- 12. 30 – dyskusja panelowa
- 13. 00 – zwiedzanie wystawy „Wrocław 1945-2016”
- 15. 00 – przejazd autokarem do Wróblowic
- 15. 30 – obiad i spotkanie integracyjne
- 20. 00 – przewóz uczestników do miejsca noclegu

Sobota 17 czerwca 2023

- 9. 00 – Msza święta w Kościele pw. Klemensa Dworzaka al. Pracy
- 10. 00 – przejazd autokarem na Ostrów Tumski
- 10. 30 – zwiedzanie Panoramy Racławickiej
- 11. 30 – zwiedzanie Ostrowa Tumskiego i okolic Rynku
- 15. 00 – obiad
- 16. 00 – zakończenie spotkania

Gazeta obywatelska *Prawda jest ciekawa* objęła patronatem medialnym to wydarzenie

Prawda jest ciekawa

KRÓLOWIE ŻYCIA



Każdy teraz pewnie powie
Że świat stanął znów na głowie
O co chodzi – gdzie wartości
Co znów cieszy a co złości

Królowie życia brylują
Razem się konsolidują
Robią numer bardzo stary
Osiem gwiazdek na sztandary

Bełkot wielki w deklaracjach
Wciąż się myślą w własnych racjach
Dziś obiecać deklarować
A już jutro torpedować

Opozycja krytykuje
I się bardzo denerwuje
Będzie się hodować
I pieniądze tak marnować

Katolików opiółować
Trza ich wyeliminować
Trzeba działać dla przyszłości
Wyzwolenia i wolności

I nie chodzi o zbyt wiele
Niech wracają czyszciciele
Zaś dla elit kamienice
A hołota na ulice

Jaki sens jest biedę wspierać
Raczej trzeba im zabierać
Po co biedzie jakieś krocie
Trza podtrzymać bezrobocie

Balcerowicz niechaj wraca
Wówczas będzie super praca
Czas nastanie znakomity
Profit będą mieć elity

Kogo wspierać kogo chronić
Komu pomóc i obronić
Kto szlachetny i życzliwy
Kto naprawdę sprawiedliwy

Komu zabrać nie darować
Kogo wspierać i lansować
Gdzie przykłady bardzo liczne
Ponoć też patologiczne

I tak dzień to za dniem leci
Patologia bije dzieci
I kobiety także leje
A poza tym dużo chleje

Patologia nie pracuje
Opozycję denerwuje
A się ciągle ona sili
Co oferta to się myli

Dzisiaj piękne obiecanki
Deklaracje i cacanki
I obiecać oczarować
Jednym słowem – bajerować

Świat naprawdę wyśmienity
Dobry przykład to elity
W Unii pięknie wciąż brylują
Choć finanse torpedują

Cóż powiedzieć skonkludować
W mediach trzeba wciąż brylować
A efekty przecież znane
Ma pieniądze Zakopane

POSTSCRIPTUM

Jutro znowu słońce wszędzie
Znów nadzieja nowa będzie
Że świat będzie romantyczny
Życzliwy i empatyczny...

Czar starego papieru, czyli o pożytkach sięgania po stare gazety

ANDRZEJ
MANASTERSKI



■ Prezentowane fragmenty pochodzą z pism z początku lat 90. i mają przypomnieć czasy, kiedy „proszę państwa, 4 czerwca 89 roku skończył się w Polsce komunizm”.

„Uważam, że Sejm, w którym 65% miejsc jest z góry zarezerwowane dla około 2,5 miliona członków kierowniczej partii i jej sojuszniczych stronnictw, a 35% dla ponad 20 milionów bezpartyjnych wyborców drugiej kategorii, stanowi zapewne dobry wstęp do stopniowego rozwijania demokracji w jakimś afrykańskim Bantustanie, ale jest mało obiecujący w kraju, który – jak Polska – posiada dobre czy złe, ale jedno z najstarszych w Europie doświadczenia i tradycje parlamentarne. (...) W tym układzie, jaki tam powstał, strony zawierające porozumienie rozdzieliły pomiędzy siebie korzyści z tego porozumienia płynące. Nastąpiło coś, co może sprawiać wrażenie podziału łupów między władzą a Solidarnością. Komitet Obywatelski Solidarność, wykorzystując swoją uprzywilejowaną pozycję w wyborach, wyeliminował wszystkie inne opozycyjne grupy i stał się praktycznie jedynym politycznym partnerem władzy. Taka sytuacja stwarza podstawy swobodnego politycznego duopolu. Nie jest to prognoza szczególnie korzystna dla rozwijania demokracji, pluralizmu i społeczeństwa obywatelskiego.”

(Jan Olszewski, *Wszystko może się zdarzyć*, „Ład”, 10 IX 1989)

„Mamy taki układ polityczny, w którym państwo odzyskało swoją niezależność, odzyskało demokratyczne życie polityczne, ale jednocześnie zachowane są rezultaty kontraktu politycznego, który rozpoczął przejście do demokracji”

(Bronisław Geremek, *Polski układ nadziei*, „Tygodnik Powszechny”, 17 VI 1990)

„Już od blisko dwóch lat powtarzam, jak zepsuty gramofon, że Polska koniecznie musi przyspieszyć proces zmian politycznych, że z chwilą, gdy upadł blok sowiecki, nieroztropnością było działanie w oparciu o kompromis, który zawarto z władzami komunistycznymi w czasie, gdy blok sowiecki jeszcze istniał; mówiłem, że zasadnicza zmiana kontekstu politycznego – w sensie międzynarodowym – nakazywała przyspieszenie zmian społeczno – politycznych w Polsce. Próbowałem

przekonać polskich przywódców, iż rok 1991 – mniej więcej dwa lata po odzyskaniu autentycznego życia politycznego – byłoby odpowiednią datą na przyjęcie nowej konstytucji, dokładnie 200 lat po przyjęciu Konstytucji 3 Maja. Byłby to odpowiedni moment na zwołanie w Warszawie kongresu demokratycznych prezydentów, aby zainaugurować nową demokratyczną konstytucję w kraju, który jest pionierem w demokratycznej odnowie byłego świata komunistycznego. Tak się jednak nie stało”

(Zbigniew Brzeziński, *Rady dla Polski*, „Odra”, 1992, nr 7-8)

„Tak rodzi się pytanie o klucz: gdzie leży klucz do naszych spraw? (...) Ale klucz do naszych spraw wydaje się jasny – kluczem jest praca i jej koncepcja. Miniony czas narzucił społeczeństwu nie tylko określoną strukturę pracy, ale również określoną jej koncepcję: stworzył ogromną ilość pracy iluzorycznej i zmusił do uznania iluzji za pracę autentyczną. W efekcie ludzie się męczą, ale nie pracują. We współczesnym świecie normalnej pracy nie jest pracą zajęcie, które nie rodzi mnoży kapitału, kryterium pracy jest wzrost kapitału. Jeśli jakaś czynność zajmuje czas, wymaga wysiłku, a nawet poświęceń, ale żadną miarą nie przyczynia się do wzrostu kapitału, a nawet pochłania kapitał – nie jest w ścisłym znaczeniu tego słowa pracą”

(Ks. Józef Tischner, *Dokąd prowadzi ta droga?*, „Tygodnik Powszechny”, 19 XI 1989)

„Chcąc wejść do wymarzonej Europy, musimy zatem dokonać narodowego rachunku sumienia i dokonać rewizji całej naszej wizji historii. Nie jest to jednak łatwe, gdyż nasze literatury narodowe i kanony literackie, na których się wychowujemy, w dużej mierze upowszechniają stereotypy narodowe i myślenie w kategoriach narodo – państwowych. Należałoby zatem odrzucić teraz tę część naszego dziedzictwa, która absolutyzowała naród i państwo, przeciwstawiając je bliższemu i dalszemu sąsiadom, ożywić zaś tradycję Renesansu, kiedy znaczna część Europy stanowiła jedność kulturową,

a poczucia narodowe były w stanie zaczątkowym. Z tym wiązałyby się zmiany typu bohaterów: Czarniecki, czy generał Dąbrowski, uwiecznieni nawet przez polski hymn, szablą wojujący o Ojczyznę, musieli być odsunięci na plan dalszy. A na plan pierwszy wysunąć by się musiał Kopernik, który w domu zapewne rozmawiał w jednym z dialektów niemieckich, studiował w Bolonii pracował na Warmii, a nawet wiekopomne dzieło opublikował w Norymberdze. Odrzucić musielibyśmy tradycję romantyczną, tak wszystkim nam drogą, a powrócić do pozytywistów, do myślenia o maszynach, edukacji, handlu, kasach pożyczkowych i „bohaterach burżuazyjnych”, obrzeczonych nam skutecznie i przez romantyków, i przez komunistyczną propagandę.”

(Krzysztof Gawlikowski, *Europejska wspólnota kulturowa a nacjonalizm*, „Kultura”, 1990, nr 4)

„Pomysłem zupełnie szczególnym wydaje mi się budowanie państwa prawa w ten sposób, że oświadcza się na początek, iż prawo sankcjonuje niesprawiedliwość, i nie ma mowy, aby mogło być inaczej. Prawo, które jest naszej budowy fundamentem, powiadają architekci, ma to do siebie, że jest bezsilne wobec zła, a bezkarność winnych ma nam sprawić satysfakcję, będzie bowiem oczywistym dowodem, iż wznieśliśmy się, na wyższy szczebel rozwojowy. Bardzo mi przykro, ale w tym momencie ekstremiści od grubej kreski przekraczają zarówno granice moralności, jak i zdrowego rozsądku i dlatego będę krzyczał – jak napisał niegdyś w sytuacji podobnego zagrożenia Adam Michnik.”

(Jan Walc, *Z dziejów infamii w Polsce*, „Wokanda” 17 II 1991)

„Premier Mazowiecki sformułował „filozofię grubej kreski.” Wobec rządu Olszewskiego przeciwnicy nie zastosowali podobnej „filozofii”. Olszewskiego i Macierewicza atakowano tak, jak w roku 1947 i później atakowano Mikołajczyka. Za sprawę zabrali się badacze filozofii i oczy Macierewicza nie znalazły aprobaty prasy. Przeciw oczom Milczanowskiego nie protestowano. Według krytyków, Ma-

cierewicz był „małą z brzytwą”, Jaruzelski zaś po prostu wybierał mniejsze zło. W rządzie Olszewskiego, jak można było przeczytać w prasie lub usłyszeć w telewizji, byli ludzie „chorzy z nienawiści”, „destabilizujący państwo”. O komunistach nie mówiło się, że nienawidzili tak intensywnie, ani że za bardzo destabilizowali. O komunizmie czyta się w „Polityce”, że był to ustrój, w którym jakoś wszyscy tkwili i „byli umoczeni”, a więc jeśli uznać, że był to ustrój haniebny, to wszyscy są zhańbieni. Takiego zacierania win indywidualnych i różnic między ludźmi nie praktykuje się wobec współczesności. Olszewskiego i Macierewicza nie przedstawia się jako części „wszystkich”, ale jako grupę polityków, którzy – inaczej niż komunistów – trzeba było szybko pozbawić wpływów, by przywrócić porządek. Zajął się tym prezydent, uzyskawszy znaczną większość sejmową, w której znalazły się najliczniejsze ugrupowania: UD i SLD, wsparte przez PSL, KPN i przez kilka grup mniej licznie reprezentowanych.”

(Jakub Karpiński, *Agenci i ilustracja – politycy i przeszłość*, „Rzeczpospolita”, 15 VII 1992)

„Moja odpowiedź na pytanie tytułowe nie jest więc twierdząca. PRL powstała wprawdzie po to, aby budować totalitarny komunizm, ale źle wywiązywała się z tego zadania. Prawie cała jej historia jest dziejami odchodzenia od totalitaryzmu poprzez kolejne fazy detotalitaryzacji. Obalenie PZPR-owskiego monopolu władzy było jedynie ostatnim najbardziej spektakularnym aktem tego procesu. Aby należyście zrozumieć dokonaną w Polsce zmianę ustroju nie wystarczy znajomość walki politycznej ostatnich lat.

Traktowanie PRL jako państwowości „niezmiennie totalitarnej” miało uzasadnienie jako sposób mobilizacji sił do walki z „realnym socjalizmem”. Dziś jednak jest jedynie podbudowywaniem pseudoradykalnej demagogii.”

(Andrzej Walicki, *Czy PRL była państwem totalitarnym*, „Polityka”, 21 VII 1910)

Wybór: Andrzej Manasterski

W 80. rocznicę utworzenia **Kolegium B**

PRZEMYSŁAW JASKUŁOWSKI

■ To również dzięki wyjątkowym umiejętnościom dowódcy oraz jego podkomendnych z Oddziału Dyspozycyjnego „B” Kedywu Okręgu Warszawa AK Powstanie Warszawskie trwało aż 63 dni.

Dzieje Oddziału Dyspozycyjnego „B” Kedywu Okręgu Warszawa AK są prawie nieznanymi szerszemu odbiorcy. Poszukując wiedzy na temat tego oddziału można jedynie dotrzeć do kilku artykułów i jednej publikacji książkowej prezentującej zachowane dokumenty świadczące o jego działaniach – chociaż niekompletne. Zagłębiając się w temat nieco bardziej, poznając rodziny byłych żołnierzy odkrywamy, że oddział ten był wyjątkowy. Wielu żołnierzy Kolegium B pozostało w konspiracji aż do śmierci. Niezmiernie trudne losy były udziałem tych, którzy rozpoznani przez służby komunistyczne byli poddawani permanentnej inwigilacji, niejednokrotnie przez TW, którzy wyniki swoich rozmów spisywali w formie raportów i przekazywali do Urzędu Bezpieczeństwa. W jednym z takich raportów czytamy: „...W dniu 10. 6. 52 r. przeprowadziłem rozmowę z Obywatelami Szczypa Tadeuszem Z-cą Kier. Robót Nr. 2 na Budowie nr. 213 w wyniku której uzyskałem następujące wiadomości. Szczypa Tadeusz w okresie okupacji i podczas powstania Warszawskiego przystąpił do organizacji A. K. występując pod pseudonimem „Drzazga” Jego dowódcą sekcji był „Graf” a następnie „Kruk” Sekcja ta wchodziła do drużyny „Boruty” podlegała dowódcy Komp. A. K. występującego pod ps. Por. „Michał”. D-cą batalionu był „Kmita” Oddział ten wchodził w skład zgrupowania „Sonsny”, w rozmowie ze Szczypą ustaliliśmy, że sekcja „Kruka” była sekcją egzekucyjną. Prowadziła ona także walkę z oddziałami A. L. W czasie powstania Szczypa brał udział w walce o gmach P. A. S. T., Hale Mirowskie, Starówkę i Poczta Główną. Awansowany był do stopnia St. strzelca. [...] W-g swych spostrzeżeń w A. K. zajmował on wyższe stanowisko, lecz nie chce tego ujawniać...”

Nawet w latach 80-tych byli żołnierze Oddziału Dyspozycyjnego „B” Kedywu Okręgu Warszawa AK nie mogli czuć się bezpiecznie. Przekonuje o tym zabójstwo jednego z nich, które do dzisiaj nie doczekało się rzetelnego śledztwa. Henryk Pajkert ps. „Juhas” został zamordowany



Żołnierze Oddziału Osłony Dowódcy Powstania Warszawskiego w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Zdj. Arch. SOP

i nagi wyrzucony na parkingu nieopodal Warszawy.

Żołnierze oddziału od 1 sierpnia 1943 r. pod dowództwem cichociemnego por. Ludwika Witkowskiego ps. „Kosa” zaczęli tworzyć jeden z doborowych oddziałów Kedywu okupowanej Warszawy. Wstąpili się akcjami na niemieckie pociągi zdobywając broń i niszcząc transporty na front, na budy żandar-

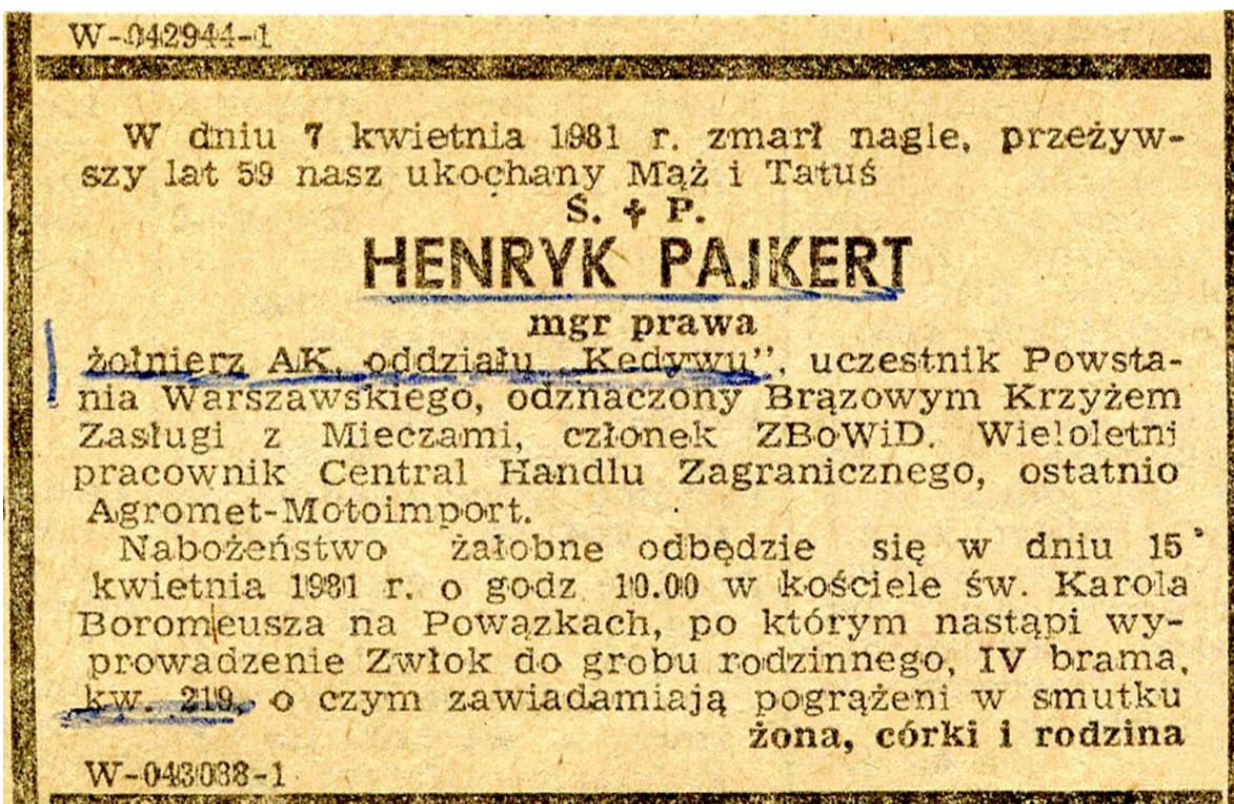
merii powstrzymując w pewnym zakresie niemiecki terror i ograniczając łapanie w Warszawie i realizując egzekucje osób skazanych wyrokami „podziemnych” sądów. Niewątpliwą sławę, chociaż przez lata pomniejszaną, zdobyli już 1 sierpnia 1944 r. rozpoczynając powstanie o godzinie 16. 40 zdobywając Hotel Victoria pełen Niemców, w którym o godzinie 17. 00 kwaterę miał zająć

plk. Antoni Chruściel ps. „Monter”. O zadaniu tym nie miał pojęcia nawet dowódca Warszawskiego Kedywu dr Józef Rybicki ps. „Andrzej”. Wszystkie działania oddziału miały charakter tajny, dzięki czemu oddział uniknął tak licznych „wsyp” poprzedzających jego objęcie przez „Kosę”. 1 sierpnia 1944 r. oddział stał się Oddziałem Osłony Sztabu Dowódcy Powstania Warszawskie-

go, którego ochraniał do czasu wyjścia powstańców z Warszawy. Zachowanie ciągłości dowodzenia w powstaniu było największym sukcesem, jaki stał się udziałem żołnierzy Kolegium „B”, o czym dopiero dzisiaj można mówić wprost. To oni zdobyli wszystkie kwatery dla dowódcy powstania i jego sztabu oraz eliminowali licznych szpiegów NKWD działających niejednokrotnie „na dwie strony”, o czym wspominają Tadeusz Szczypa ps. „Drzazga” i Jerzy Filipowicz ps. „Pogoń”. Byli wysłani do wszystkich najważniejszych akcji, jak zdobywanie budynku PAST-y, Komendy Głównej Policji i Kościoła Św. Krzyża, wspierali przebieg oddziałów ze Starówki do śródmieścia, czy walki o Halę Mirowską.

Na ul. Jasnej 26, gdzie mieścił się niegdyś Hotel Victoria wisiła tablica upamiętniająca tę akcję i jej uczestników, niestety po sprzedaży budynku prywatnemu inwestorowi została ona zdjęta i zaginęła. Przez kilka lat, kiedy żyli jeszcze ostatni żołnierze oddziału, były podejmowane bezskuteczne próby przywrócenia tablicy na ul. Jasnej 26. Niestety ostatni żyjący powstańcy z Oddziału Osłonowo-Dyspozycyjnego Kwatery Głównej Dowódcy Powstania gen. Antoniego Chruściela – Montera, jak nazywał go w swoich wspomnieniach „Drzazga”, musieli odejść, aby tablica mogła się urzeczywistnić. W swojej ostatniej woli Janusz Polkowski ps. „Sójka” był niezmieennie wdzięczny za podjęcie wysiłku fundacji tablicy pamiątkowej przywracającej pamięć o akcji na Hotel Victoria.

Już 12 czerwca 2023 r., w święto Służby Ochrony Państwa, w Katedrze Polowej Wojska Polskiego po uroczystej Mszy Świętej zostanie odsłonięta wyjątkowa w formie tablica przywołująca pamięć żołnierzy z Kolegium „B”, którego tradycje kulturuje Służba Ochrony Państwa – fundator tablicy. Komendant Służby Ochrony Państwa – Pan plk SOP Radosław Jaworski zaprasza na tę uroczystość wszystkie osoby, którym bliska jest pamięć historyczna i etos walki o niepodległą Polskę.



Nekrolog Henryka Pajkerta. Rok później zmarł Henryk Witkowski ps. „Boruta” – dowódca oddziału Ludwik Witkowski ps. „Kosa” doświadczony śmiercią „Juhasa” w nekrologu pożegnał brata jako dowódcę oddziału nie podając szczegółów odnośnie miejsca i czasu pogrzebu. Zdj. Arch. SOP

Dzień Drukarza

Pamięci drukarzy prasy podziemnej z lat 80

GRZEGORZ
GORCZYCA

■ Dzień Drukarza to w Polsce święto tych, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego i jeszcze wcześniej przekazywali innym Wolno Słowo. W ostatni weekend maja drukarze i kolporterzy prasy podziemnej spotkali się w Krakowie – Nowej Hucie przy pomniku Prasy Niezależnej na os. Szklane Domy. Osoby te w latach 1980-1990 z narażeniem wolności i majątku angażowali się w działalność antykomunistyczną zmierzającą do odzyskania suwerenności i niepodległości Ojczyzny. Wielu z Nich było z tych powodów represjonowanymi.



Święto demokracji

Przypominamy członkom i sympatykom Stowarzyszenia Solidarność Walcząca, że Zarząd SSW zwołał na dzień 10 czerwca 2023 na godzinę 12.30 Walne Zebranie członków Stowarzyszenia, które odbędzie się w budynku Centrum Historii Zajezdnia ul. Grabiszyńska 184 we Wrocławiu. Tak jak pisaliśmy wględy formalne tego zgromadzenia wydają się nam również ważne co jego wymiar towarzyski. Jak pamiętamy, poprzednie zebranie odbyło się blisko osiem miesięcy wcześniej a w świetle statutu 3-letnia kadencja zarządu wybranego 19 grudnia 2019 roku upłynęła z końcem ubiegłego roku. Co więcej na wspomnianym ostatnim zebraniu, które miało miejsce 15 października 2022 roku, przewodniczący Stowarzyszenia Zbigniew Jagiełło publicznie zadeklarował, że złoży rezygnację wraz z upływem kadencji obecnego zarządu i nie będzie korzystał z zapisanej w statucie dłuższej 5-letniej kadencji przewodniczącego. Tym samym otwiera się przed nami perspektywa przemyślanego wyboru nowych

władz Stowarzyszenia Solidarność Walcząca.

Warto podkreślić, że październikowa deklaracja Zbyszka Jagiełły nie wzbudziła specjalnego zaskoczenia, szmerów komentarza, czy próśb o cofnięcie decyzji. Być może 10 czerwca b.r. dowiemy się, co skłoniło wybitnego menedżera, człowieka sukcesu, który sam był gotów pokierować Stowarzyszeniem po śmierci Kornela Morawieckiego, do tej dziwnej rezygnacji. Optymiści uważają, że zobaczymy odbicie z trampoliny SSW w wielką politykę lub gospodarkę. Wobec nowych wyzwań będą potrzebni zaufani ludzie do nowych interesujących zadań. Złośliwi twierdzą, że trudno było przedstawić się na zarządzanie blisko 200-osobową w pewnym sensie historyczną wspólnotą, gdy jeszcze niedawno decydowało się o losach ogromnego banku i pośrednio o polityce finansowej państwa. Trudno kierować grupą indywidualistów przekonanych o swojej wielkości i niezależności budowanej przecież za czasów komu-

ny. Zasada „masz pomysł to go realizuj” słabo się sprawdza w świecie społecznych konsultacji, demokratycznych decyzji, wniosków o dotację i zawitych proceduralnych rozliczeń. Z drugiej strony trudno nie zauważyć powiększającej się grupy członków Stowarzyszenia, którym wraz z upływem lat nie dane jest korzystać w tej samej mierze z owoców rosnącego dobrobytu, co niektórym członkom władz Stowarzyszenia. Oni potrzebują pomocy.

Tak więc przed nami ważne decyzje. Oby zdarzające się zaniechania, niepotrzebne napięcia a czasem błędne decyzje władz SSW odeszły do przeszłości a nasza wspólnota spadkobierców Solidarności Walczącej, wspólnota krzeni, pamięci i celów – zachowała spójność, zdolność do aktywności i wzajemny szacunek. Dążmy niezmiernie do budowy Rzeczypospolitej Solidarnej, w myśl idei Kornela. Wspierajmy wszystkie cenne dla Polski inicjatywy.

Redakcja

Jak co roku zostały uroczystie złożone kwiaty pod pomnikiem Prasy Podziemnej. To święto ustanowiono dla upamiętnienia drukarzy prasy podziemnej z lat osiemdziesiątych, którzy mimo zakazu i prześladowań prowadzili działalność. Dzień wspominania osób, które walczyły o wolne słowo i angażując się w drukowanie „bibuły”, przyczyniły się do obalenia komunizmu. Dzień Drukarza prasy podziemnej, to dzień pamięci o niezłomnych drukarzach, redaktorach, kolporterach prasy podziemnej czasów komunistycznych. W spotkaniu mogą uczestniczyć wszyscy zainteresowani. Można poznać techniki drukowania i posłuchać historii tych, którzy tworzyli w czasach komuny prasę niezależną.

Uroczystości rozpoczynają się co roku pod charakterystycznym pomnikiem, który powstał 11 lat temu stanowiąc hołd dla tych, którzy walczyli o wolne słowo. Przedstawia rulony niezależnych gazet rozbijających beton. Dziś trudno wyobrazić sobie zwycięstwo z komunizmem bez podziemnych drukarzy, dzielników redaktorów i kolporterów.

Na przestrzeni lat spotykamy się co roku w gronie osób, które drukowały prasę podziemną od momentu ogłoszenia stanu wojennego. Wielu z nas służyło swoim doświadczeniem młodemu pokoleniu, w celu kontynuacji głoszenia wolnego słowa w publikacjach podziemnych.